TAJEMNICZE KOŁA I KULE

Str. 4

LITERATURA RADZIECKA

PRZEKŁADY

IGORA SIKIRYCKIEGO

Str. 8

TARGI, TARGI...

Str. 12

Str. 3

Z WIELKĄ MIŁOŚCIĄ

Str. 7

CZŁOWIEK SZTUKA I SENS ŻYCIA

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 16 (906) 17 KWIETNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Tegoroczne obchody Dni Kultury Radzieckiej w naszym kraju mają szczególnie uroczysty charakter, jako że zbiegły się z 30 rocznicą podpisania Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy Powojennej między Związkiem Radzieckim a PRL, a więc aktu, który miał decydujące znaczenie dla rozwoju naszej ojczyzny.

Wzajemne codzienne kontakty robocze wzbogacono i poszerzono o nowe elementy, które przez poznanie bogactwa kultur narodowych, pozwalają jeszcze bardziej zacieśnić łączące nas więzy przyjaźni. Na miarę naszych skromnych możliwości pragniemy i my dorzucić swoją małą cegiełkę do tego gigantycznego dzieła. Stąd, w bieżącym szczególnie, ale i w następnych numerach także, Czytelnik znajduje mnóstwo materiałów poświęconych życiu i kulturze narodów Związku Radzieckiego.

W roku bieżącym mija 80 rocznica urodzin Maksyma Rylskiego, wybitnego poety ukraińskiego. Temu wielkiemu znawcy naszej kultury poświęca Zygmunt Grosbart szkic zatytułowany „Z wielką miłością". Rylski całe swe życie poświęcił tłumaczeniu naszej literatury na język rosyjski. Niech miarą jego rozmiłowania w naszej poezji, a już szczególnie poezji romantycznej i mickiewiczowskiej będzie fakt, iż przekładowi „Pana Tadeusza" poświęcił 40 lat pracy i wydał kolejno 6 jego redakcji. Jest to jedno z najlepszych, jeśli nie najlepsze tłumaczenie na świecie.

Fascynacja poezją narodową jest dwustronna, wzajemna. Zauroczony pięknem „poezji narodów" Kraju Rad, zasłużony jej tłumacz – Igor Sikirycki, prezentuje dziś nowe przykłady swego twórczego dorobku translatorskiego. Dla odmiany są to azerbejdżańskie wiersze liryczne, pełne filozoficznej zadumy i refleksji, a jednocześnie zasobne w mity i ludowe legendy, trochę egzotyczne dla nas a przecież jakże współczesne w swej kanwie myślowej.

Postać Wasilija Szukszyna kojarzy się nam przede wszystkim z jego ostatnim filmem – „Kalina czerwona" oglądanym podczas tegorocznych „Konfrontacji". Był w nim Szukszyn i autorem scenariusza, i reżyserem, i odtwórcą głównej roli. We wszystkich trzech wcieleniach jednakowo doskonały. I takim Go pamiętamy. Szukszyn to jednak przede wszystkim pisarz, i to pisarz współczesny. Mistrzostwo swoje osiąga jednak nie w powieściach, a w krótkich opowiadaniach. O tym przedwcześnie zmarłym pisarzu pisze Elżbieta Wróblewska w artykule „Człowiek, artysta i sens życia", przedstawiając Czytelnikowi próbkę jego pięknej prozy.

REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BABRANINA

(dokończenie)

Obywatel, którego poraziła wizja pijanego majstra na dziesiątym piętrze wieżowca, ruszył przez błoto do najbliższej budki telefonicznej celem zaalarmowania milicji. Okazało się jednak, że automat jest głuchy.

— Co robić? — zapytał obywatel.

— Na Wróblewskiego przy Bratysławskiej jest jeszcze jeden automat — powiedziałem.

— No to śpieszmy się, śpieszmy!...

Szedł jak mógł najszybciej po rozbabranym chodniku, dysząc z podniecenia i gniewu, który początkowo skupiał się przede wszystkim na zaprawionych od wczesnego ranka murarzach i drogowcach, ale niebawem objął również urząd miejskich telefonów.

Drugi automat także był głuchy.... Owszem, wessał w siebie kilka złotówek, ale ani myślał połączyć nas z milicyjną centralą. Ktoś obeznany powie w tym miejscu, że pogotowie milicyjne 07 można wezwać bez opłaty, ale wspomniane dwa automaciska nie dały się nabrać na żadne takie bezgotówkowe machinacje.

— Poczta! — krzyknął obywatel.

— Chyba nieczynna o tej porze.

— Właśnie! — zerknął na zegarek. **— Ale jest jeszcze buda przy Thaelmanna.**

W biegu wygrzebał z kieszeni kolejną złotówkę. Kiedy jednak podeszliśmy do tej nowej, usytuowanej tuż za retkińskimi bocianami i kioskiem Ruchu budy, okazało się, że automat jest wybebeszony: zamiast tarczy — ziejące dziursko, w które ktoś dowcipnie wetknął mikrofon słuchawki.

— Wie pan co? — zaczął zimnym, jadowitym tonem obywatel. — Kiedy na to patrzę, to mam chęć obciąć sobie nogę powyżej kolana. W całym mieście szwankują automaty. W całym mieście, nawet na dworcach i w urzędach pocztowych nikt się o nie nie troszczy, ale tu, w naszej dzielnicy, gdzie nie ma żadnych instytucji i gdzie chyba nikt nie zainstalował sobie jeszcze linii napowietrznej, takie niechlujstwo domaga się ciężkiego kryminału. A co będzie, jak zachoruje jakieś dziecko, albo jak trafi kogoś w nocy zawał, albo jak napadną na jakiś dom złodzieje? Nie zadzwonisz, do taksówki przez błoto nie dojdziesz, możesz tylko spokojnie czekać na śmierć...

— Jest jeszcze jeden telefon — powiedziałem.

— Gdzie?

— W tej spółdzielni przy Wioślarskiej.

— To czemu pan od razu nie mówił?

— Myślałem, że pan wie i że nie chce pan dzwonić przy tych pijakach...

— Taaa. — Zamyślił się. A po chwili: **— Ma pan rację. Nigdzie nie chcę już dzwonić.**

Machnął ręką i nie mówiąc „do widzenia" powlókł się zrezygnowany w kierunku ulicy Narciarskiej.

Ja natomiast wróciłem do spółdzielni, która — podobnie jak inne okoliczne sklepy — spełnia również funkcję lokalu rozrywkowego z wyszynkiem. W jednej kolejce śpieszący się, zaaferowany tłum tych, co za chwilę podążą do pracy, w drugiej ci, co przed chwilą urwali się z pracy. I na zmianę: ćwiartka masła — piwo! bochen chleba — wino! kilogram kartofli — flacha! cztery bułki — butla! Biedne, zagonione ekspedientki otrzymały rozkaz, żeby nie sprzedawać alkoholu facetom w drogowych i murarskich kombinezonach, którzy ściągają tu z okolicznych budów. Ale ci faceci mają swoje sposoby — to wyręczy ich jakiś miejscowy knajak w cywilnym ubraniu, to jakieś dziecko. Parę razy zwrócili się w tej sprawie z cudowną bezradnością do mnie. W szczególnych wypadkach potrafią nawet przebrać się w jakiś pożyczony płaszcz czy kapotę i wyłudzić wreszcie od sprzedawczyni to, od czego przyjemnie kręci się w głowie.

Trąbią, stojąc grupkami pod spółdzielnią — bez żenady, wesoło, pod papieroska albo ogóreczki. Nieraz któryś zatknie za pas flachę pod kufajką. Inni do niego:

Dalszy ciąg na str. 5

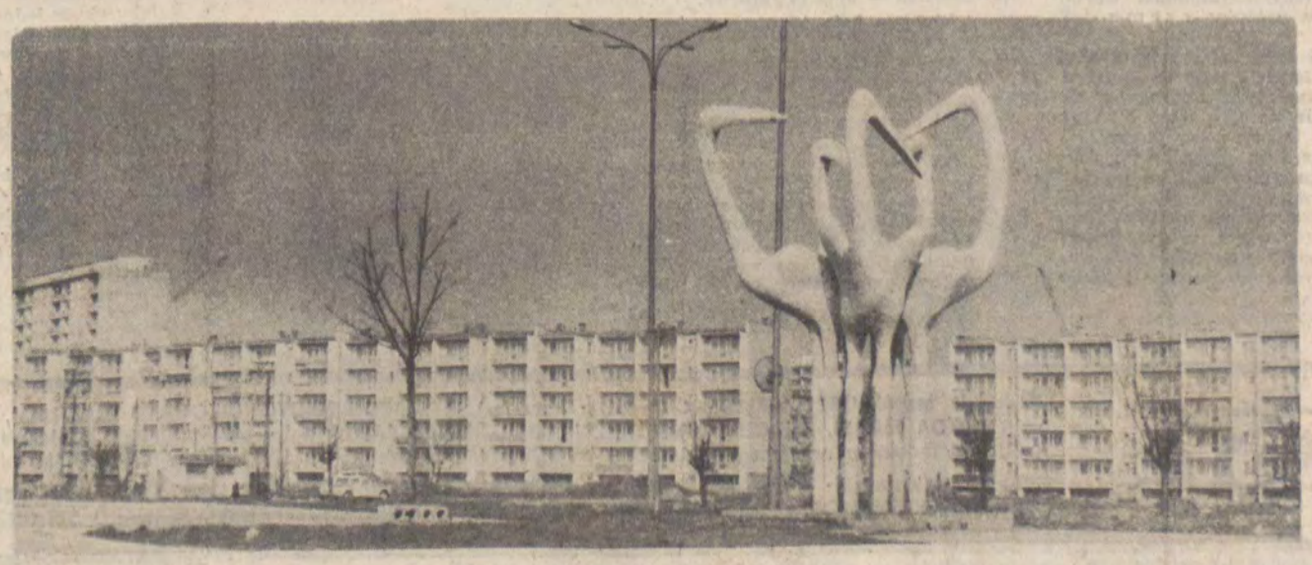

PREZENTACJE

JAROSŁAW NIECIECKI

— „Dziennik Łódzki" jest najstarszą gazetą Łodzi, a Pan jest chyba najstarszym z polskich dziennikarzy sportowych?

— Chyba tak, nie licząc oczywiście tych, którzy są już na emeryturze. Kiedy jeszcze Władysław Lachowicz kopał piłkę w pierwszoligowej drużynie, ja już pisywałem o sporcie.

— Gdzie Pan zaczynał?

— W Wilnie. Był to rok 1926. „Dziennik Wileński" zaproponował mi wówczas współpracę. I tam zacząłem się uczyć dziennikarstwa. W jakiś czas potem Witold Hulewicz zaproponował mi współpracę z radiem.

— I Pan z tego skorzystał?

— Z wielką radością. Radio było wtedy czymś nowym i każdy chętnie godził się na taką propozycję. Wprawdzie Witold Hulewicz poinformował mnie lojalnie, że radio jest instytucją ubogą i przez jakiś czas — powiedzmy rok, albo nawet półtora — przyjdzie pracować bez zapłaty, ale potraktowałem tę propozycję jako wyróżnienie i zgodziłem się. Jednym z pierwszych moich zadań było zrobienie reportażu z występów zapaśnika Sztekera. Wtedy zapaśnicy występowali w cyrkach. Właśnie do Wilna przyjechał cyrk i razem z nim Szteker. Reportaż — robiony bezpośrednio z cyrkowej areny — miałem zrealizować wspólnie z Antonim Bohdziewiczem — znanym później reżyserem filmowym.

Dalszy ciąg na str. 6

PRZEMIANY (II)

NA POŁUDNIE OD AGLOMERACJI

Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej nie trzeba przedstawiać. Powszechnie wiadomo, że w jej skład wchodzą poza Łodzią miasta: Pabianice, Zgierz, Ozorków, Stryków, Głowno, Brzeziny, Koluszki, Tuszyn, Łask, Zduńska Wola, Konstantynów i Aleksandrów oraz tereny miasta te okalające. Przypomnijmy może tylko, że ŁAM obejmuje 2 980 km kwadratowych, na którym to obszarze mieszka przeszło 1 200 tys. osób, a z tego 83 proc. w miastach. Według danych z 1970 roku na obszarze ŁAM mieszkało blisko 50 proc. ludności województwa łódzkiego.

Na południe od Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej leżą powiaty: **wieruszowski, wieluński, pajęczański, bełchatowski, piotrkowski, radomszczański i miasto — Tomaszów Mazowiecki.** Skoncentrujmy naszą uwagę na tej części województwa łódzkiego, która leży na południowy wschód od ŁAM, a więc na **Tomaszowie Mazowieckim, Piotrkowie Trybunalskim** oraz powiatach **piotrkowskim i radomszczańskim.** Bełchatów oraz powiat bełchatowski — jako problem sam w sobie w związku z budową kopalń węgla brunatnego i elektrowni — pozostawmy osobnym rozważaniom.

Wyróżniając w województwie łódzkim regiony gospodarcze przez wyszukiwanie w nich cech dominujących i możliwie jednorodnych, można południowo-wschodnią część województwa łódzkiego uznać za tego typu region. Co stanowiłoby zatem podstawę dla takiego wyróżnienia z pozostałego obszaru?

Po pierwsze położenie. Tomaszów Mazowiecki, powiaty: piotrkowski i radomszczański leżą nad Pilicą. Lasy Spalskie wokół Tomaszowa Mazowieckiego, Zalew Sulejowski i pozostały rejon Pilicy stwarzają dogodne warunki dla rekreacji. Większość ośrodków wypoczynkowych koncentruje się głównie w okolicy Spały, Sulejowa i będą w dalszym ciągu rozwijały się wzdłuż Zalewu Sulejowskiego.

Drugim czynnikiem wyróżniającym tę część województwa jest **przemysł.** Skoncentrowany on jest w trzech ośrodkach: **Tomaszowie Mazowieckim, Piotrkowie Trybunalskim i Radomsku,** z niewielkimi „odpryskami": **Sulejów** (wapienniki), **Gorzkowice** (prefabrykaty budowlane), **Niechcice** (przemysł spożywczy), **Wola Krzysztoporska** (przemysł barwników), **Niewiadów** (przemysł turystyczny) i **Gidle** (przemysł maszyn rolniczych).

W gospodarce województwa łódzkiego w latach 1955 — — 1972 nastąpiły zmiany strukturalne. Jeśli w 1955 roku przemysł maszynowy i elektrotechniczny dawały 12,1 proc produkcji globalnej to już w 1972 roku — 21,3 proc. W tym czasie nastąpił też spadek udziału przemysłu włókienniczego — z 31,4 proc. w 1955 roku do 25,3 proc. w 1972 roku. Wzrósł natomiast udział przemysłu odzieżowego: z 6,5 proc. w 1955 roku do 11,7 proc. w 1972 roku. Wzrósł też udział przemysłu spożywczego: z 9,7 proc. w 1955 roku do 16,7 proc. w 1972 roku.

Proces uprzemysłowienia dokonujący się w ostatnich latach w rejonach położonych na południe od ŁAM ilustruje dobitnie postępujący wzrost zatrudnienia. W 1946 roku w **Piotrkowie Trybunalskim** na tysiąc mieszkańców zatrudnionych było 115 osób — w 1973 r. — 313 osób. W **Tomaszowie Mazowieckim** w 1946 roku — 316 osób — w 1973 roku — 400 osób. W powiecie **radomszczańskim** w 1946 roku — 32 osoby, w 1973 roku — 128 osób.

TOMASZÓW MAZOWIECKI jest tradycyjnym ośrodkiem przemysłu włókienniczego. Wystarczy wymienić „Mazovię", Zakłady Przemysłu Wełnianego im. M. Nowotki, fabrykę dywanów czy największą z tomaszowskich fabryk — TZWS „Wistom". Tę tradycyjną strukturę przemysłu tomaszowskiego uzupełniły ZPO „Pilica" czy ZPW „Tomtex". W procesie inwestowania Tomaszów Mazowiecki zachował charakter ośrodka włókienniczego. Inaczej natomiast potoczyły się losy Piotrkowa Trybunalskiego.

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI był przede wszystkim ośrodkiem przemysłu szklarskiego. Robotnicy piotrkowskich hut szkła chlubnie zapisali się w dziejach walki polskiego proletariatu swoimi rewolucyjnymi wystąpieniami. W latach okupacji okolice Piotrkowa Trybunalskiego były widownią walk partyzanckich. W trzydziestoleciu Polski Ludowej dokonały się zasadnicze zmiany w strukturze gospodarczej Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie obok dawnych fabryk powstały nowe.

Dziś o potencjale produkcyjnym Piotrkowa Trybunalskiego obok hut szkła: „Hortensji" i „Kary" decydują już inne zakłady: Fabryka Maszyn Górniczych „Pioma", Fabryka Maszyn Szklarskich „Vitroma", Piotrkowska Fabryka Maszyn Budowlanych, Fabryka Elementów Wyposażenia Budownictwa „Metalplast", Piotrkowskie Fabryki Mebli, Zakłady Przemysłu Sklejek, Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Sigmatex" i inne. Trwa proces porządkowania urbanistycznego miasta, tworzy się dzielnicę przemysłową w południowo-zachodniej części miasta, w której buduje się nowe fabryki i w nowych warunkach odtwarza się stare.

Piotrków Trybunalski stał się poważnym ośrodkiem kształcenia kadr. Pracuje tu Technikum Przemysłu Szklarskiego, Technikum Drogowe, Technikum Budowlane i Zespół Szkół Medycznych. Działa Centrum Doskonalenia Nauczycieli, filia Uniwersytetu Łódzkiego, punkt konsultacyjny Politechniki Łódzkiej. Czynione są starania o otwarcie zawodowego studium administracyjnego Uniwersytetu Łódzkiego.

Piotrków Trybunalski pozostał ośrodkiem przemysłu szklarskiego, ale coraz powszechniej zdobywa sobie uznanie jako ośrodek przemysłu metalowego. Decyduje o tym „PIOMA". Fabryka Maszyn Górniczych, która powstała w 1956 roku i nosi imię Tadeusza Żarskiego. Pracuje ona na potrzeby górnictwa Polski, ZSRR, NRD, RFN, Jugosławii, Rumunii, Demokratycznej Republiki Wietnamu i innych krajów. Produkuje urządzenia transportowe dla kopalń węgla: transportery dla kopalń odkrywkowych, urządzenia transportowe dla kopalń głębinowych, urządzenia wyciągowe, elementy kopalnianej obudowy oraz konstrukcje stalowe budynków przemysłowych dla górnictwa. Urządzenia „Piomy" można spotkać zarówno na Śląsku, w Świnoujściu, Porcie Północnym, kopalniach węgla brunatnego, jak też można będzie spotkać w Bełchatowie i Lublinie. Obecnie wartość produkcji „Piomy" wynosi około 1,5 miliarda zł, a po rozbudowie — w 1980 roku — wyniesie blisko 3 miliardy złotych. „Pioma" zatrudnia 5 tys. osób, a po rozbudowie zatrudniać będzie około 7 tys. osób.

Znaczenie „Piomy" dla Piotrkowa Trybunalskiego polega nie tylko na tym, że fabryka produkując dla kraju i na eksport rozsławia imię miasta, ale również i na tym, że jest czynnikiem pobudzającym rozwój trybunalskiego grodu. Wystarczy wymienić tylko budowane osiedla mieszkaniowe i powstający ośrodek rekreacyjny, ze stadionem i basenami kąpielowymi. Nie stanowi to całości świadczeń fabryki i jej załogi na potrzeby miasta niemniej wyraźnie ukazuje rolę miastotwórczą fabryki.

Najdalej na południe od Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej leży **RADOMSKO.** Wprawdzie można w historii miasta i rejonu zaobserwować tendencje odśrodkowe — ciążenie ku Częstochowie, ale niemniej Radomsko odgrywa w strukturze gospodarczej województwa znaczną rolę. Zakłady Przemysłu Meblarskiego im. Gwardii Ludowej są największymi tego typu zakładami w kraju, zatrudniają około 5 tys. osób i pracują nie tylko na potrzeby rynku krajowego, ale i wielu odbiorców zagranicznych.

O potencjale produkcyjnym Radomska decydują również: Huta Szkła Gospodarczego, ZPM im. Komuny Paryskiej, Zakłady Konfekcji Dziewiarskiej „Sigmatex", Wytwórnia Konstrukcji Stalowych „Mostostal", Fabryka Maszyn „Radomsko". W ubiegłym roku wartość produkcji i usług sprzedanych innym odbiorcom przekroczyła 6,3 miliarda zł, co stanowi 9,2 proc. produkcji przemysłowej województwa. W ubiegłym roku 41,5 proc. powstałych w powiecie radomszczańskim towarów sprzedano zagranicznym odbiorcom, co znacznie podnosi rangę przemysłu tego powiatu.

Radomsko otrzymało ostatnio nowoczesną przetwórnię mleka, do której zakupiono duńskie i włoskie automatyczne maszyny.

Ten statystyczny niemal przegląd stanu posiadania tej części województwa służyć ma podkreśleniu roli gospodarczej, jaką spełnia w całym województwie i kraju. Czy ta część województwa stanowi jednak rejon zwarty i wzajemnie powiązany? Niewątpliwie okolice Tomaszowa Mazowieckiego i Piotrkowa Trybunalskiego wyróżnia korzystnie jednorodność warunków sprzyjających rozwijaniu rekreacji i turystyki. Najmniej tego typu walorów posiada powiat radomszczański i najmniej był pod tym względem wykorzystany.

Wspólny natomiast dla całego tego rejonu jest wysoki stopień uprzemysłowienia miast, z tendencją do dalszego rozwoju. W Radomsku rozpoczęła produkcję Wytwórnia Konstrukcji Stalowych „Mostostal", rozwija się Fabryka Maszyn, „Komuna Paryska". Jednakże — podobnie jak w Piotrkowie Trybunalskim — większość tych fabryk daje wyroby pochłaniające wielkie ilości materiałów (transportery, konstrukcje stalowe, urządzenia wyciągowe, okucia budowlane, drut, gwoździe), nie wymagające szczególnego wkładu myśli konstrukcyjnej, znacznego wyposażenia technicznego, które by podnosiły wartość tych wyrobów niezbędnych w życiu i znajdujących coraz większą liczbę odbiorców.

Południowo-wschodni rejon województwa łączy również i to, że zarówno Tomaszów Mazowiecki, Piotrków Trybunalski, jak i Radomsko należą w województwie łódzkim do ośrodków **najprężniej się rozwijających.** Znaczny rozwój przemysłu szczególnie w Radomsku ograniczył tendencje odśrodkowe, angażując ludność tego rejonu w sprawy powiatu i miasta. Większa ilość miejsc pracy ograniczyła wędrówki do Częstochowy i dalej na Śląsk, w poszukiwaniu zatrudnienia, choć ich zupełnie nie wyeliminowała.

Partyjny program działania, przyjęty przez **XIV Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą,** zakłada utrzymanie tempa przyrostu produkcji na poziomie 15 procent, aby w tym roku w całym przemyśle województwa można było zwiększyć wartość produkcji sprzedanej o 13 miliardów złotych. Nakłada to na najintensywniej rozwijający się region znaczne zadania. WKS „Mostostal" i Fabryka Maszyn w Radomsku powinny szybko osiągnąć planowane możliwości produkcyjne. Przyśpieszenia modernizacji oczekuje się między innymi od załogi ZPW „Mazovia" i Tomaszowskiej Fabryki Dywanów „Weltom".

Od wszystkich — lepszego wykorzystania czasu pracy ludzi, maszyn i urządzeń, podniesienia dyscypliny, poprawy rytmiki produkcji, podniesienia jakości wyrobów. Prężny rozwój ośrodków przemysłowych południowo-wschodniej części województwa, co je też wyróżnia — powoduje, że od zakładów przemysłowych Tomaszowa Mazowieckiego, Piotrkowa Trybunalskiego i Radomska oczekuje się przodowania w realizacji partyjnego programu działania.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PIOSENKA RADZIECKA

13 bm. w Łódzkiej Szkole Muzycznej odbyły się łódzkie eliminacje Konkursu Piosenki Radzieckiej, zorganizowane przez ZŁ Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu m. Łodzi, ŁRZZ, Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi, Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej oraz Łódzkiego Ośrodka RiTV.

Jury w składzie: doc. Rajmund Ambroziak — przewodniczący i mgr Bolesław Miguła — sekretarz, postanowiło przyznać I miejsce Marii Krupińskiej z ZDK przy „Obrońcach Pokoju", II miejsce Małgorzacie Majchrowskiej z XXV LO, a III — zespołowi wokalnemu „Pryzmat". Wyróżnieni reprezentować będą Łódź w ogólnopolskich finałach w Inowrocławiu. Ponadto zdobywczynie dwu pierwszych miejsc nagrodzone zostały wycieczką do ZSRR. A.M.

OKO na GOSPODARKĘ

MAŁO, DUŻO W SAM RAZ

Był taki czas, kiedy to w wypowiedziach niektórych naszych ekonomistów można było znaleźć nie tylko pewien niepokój, co wręcz pesymizm. Wskazywali oni przy tym na pewien demograficzny i społeczno-ekonomiczny fakt. Otóż, w bieżącej pięciolatce przybywa nam 1 milion 800 tysięcy rąk do pracy, słowem — w okresie, który w tym roku zamykamy należało przygotować tej armii ludzi stosownie dużą liczbę miejsc pracy, tak, by nie zmarnowało się największe bogactwo naszego kraju — człowiek, jego siły, umiejętności, inicjatywa, nabyte w toku kształcenia kwalifikacje. Ale przecież nie tylko do tego pragmatycznego elementu sprowadzał się — w rozumowaniu tych ekonomistów — problem. Chodziło o wypełnienie jednego z fundamentalnych obowiązków państwa socjalistycznego — zagwarantowanie możliwości podjęcia pracy.

Nie ulega kwestii sprawa była poważna, ale okazało się, że rzeczywistość obaliła wszystkie wspomniane teoretyczne spekulacje, a przede wszystkim wypowiadane obawy. Nasz rynek pracy wchłonął z powodzeniem nie tylko owych 1.800 tysięcy ludzi, ale nawet znacznie więcej osób znalazło na nim odpowiednie dla siebie zajęcie. Pesymiści przygwożdżeni realiami musieli więc złożyć broń, co mimo wszystko w tej sprawie jest rzeczą najmniej ważną. Wybaczmy im to, jako że mylić się jest rzeczą ludzką. Natomiast warto, a nawet koniecznie trzeba odpowiedzieć na pytanie: c z e m u tak się stało?

Oczywiście, nie może być mowy o jakimś zaskakującym zjawisku, o... cudzie, którego nie można było przewidzieć, a skutków obliczyć. W gospodarce nie ma miejsca dla metafizyki, wszystko ma swoje uwarunkowania, uzasadnienia. Tak — cudów tutaj nie ma. Zresztą — kto dziś jeszcze w takie rzeczy wierzy? Dajmy sobie jednak już spokój z cudownościami, przejdźmy do meritum pytania: skąd się ta niespodziewana chłonność naszego rynku pracy u licha wzięła?

Mówiąc krótko: z przyśpieszenia, z ogromnej dynamiki rozwoju gospodarczego i społecznego kraju, z konsekwentnie realizowanej, zgodnie z programem partii, polityki inwestycyjnej, w której stawiając na rozwój i unowocześnienie przemysłu oraz rolnictwa, stawiając bardzo ambitne cele, odrzucono dawniej wyznawane i pilnie praktykowane tabu: jeśli rozszerzamy sferę wytwarzania to już brakuje w tym działaniu miejsca równie poważnego dla sfery konsumpcji, usług, inwestycji o charakterze nieprodukcyjnym, takich jak choćby budownictwo mieszkaniowe.

Jakie więc są realia sytuacji w tej dziedzinie na — jak się to mówi — dziś?

Oględnie mówiąc, jeśli ciągle brać pod uwagę wcześniejsze, owe niefortunne w świetle rzeczywistości, prognozy, mamy do czynienia z paradoksem. Po prostu w wielu regionach kraju wyraźnie odczuwa się brak rąk zdolnych do podjęcia pracy, pogłębił się deficyt, jeśli chodzi o siłę męską, bez śladu zniknęła zauważalna jeszcze przed kilku laty pewna nadwyżka poszukujących zatrudnienia kobiet, ba — dziś, etaty oczekują na panie, a biorąc sumarycznie pod koniec ubiegłego roku każdemu poszukującemu zajęcia mogliśmy w naszym kraju przedstawić 6,4 wolnego miejsca pracy.

Czy takim obrotem sprawy możemy być w pełni usatysfakcjonowani?

Może któryś z PT Czytelników w tym miejscu zauważyć, że jest to pytanie pozbawione — w świetle poprzednich wywodów — jakiegokolwiek sensu.

No cóż, gdyby to wszystko było takie proste, jednoznaczne. Prawda bowiem wygląda tak: zdołaliśmy wchłonąć ów demograficzny wyż, zaangażować przydatnie w krajowej ekonomice i to jest z pewnością dużej miary osiągnięcie. Faktem jest jednak, że taka sytuacja, przede wszystkim demograficzna, miała swoje konsekwencje w dosyć beztroskich sposobach wykorzystywania istniejących zasobów ludzkich. Ujawniły to zarówno badania przeprowadzone niedawno z inicjatywy instancji partyjnych w jednostkach gospodarczych oraz administracyjnych, jak i powszechna analiza stanu wykorzystania kadr opatrzona kryptonimem „Magister". To właśnie te dwie bardzo sprawnie dokonane akcje ujawniły, że w samej tylko Łodzi, w październiku 1974 roku, mieliśmy 4966 osób zatrudnionych w różnych dziedzinach naszego życia gospodarczego oraz w administracji, których przydatność w ich obecnych miejscach pracy z punktu widzenia jej efektywności, jest co najmniej wątpliwa. Słowem — była to rezerwa.

Piszę — była to rezerwa, bowiem wielu z tych ludzi już zostało przesuniętych do innych dziedzin gospodarowania i administrowania, z pożytkiem dla naszej ekonomiki jak i dla nich samych. Problem na tym się jednak nie zakończył, bowiem na naszym rynku pracy dają o sobie już znać zjawiska, wymagające bardzo konsekwentnego i czujnego działania. Jest to rezultat pewnych procesów demograficznych, jak i ciągłego rozwoju naszej gospodarki.

Ta teza daje się łatwo zilustrować, udokumentować danymi, które w odniesieniu do naszego miasta, zgromadzono przy okazji plenarnego posiedzenia Komitetu Łódzkiego PZPR, a debatującego nad metodami dalszej racjonalizacji i zwiększenia efektywności gospodarowania w Łodzi. Tak więc stwierdza się, że w świetle bilansów demograficznych na najbliższych 15 lat, zasoby ludzkie w Łodzi będą sukcesywnie maleć. Szacuje się, że przyrost zatrudnienia bez uwzględnienia tak zwanej migracji „wahadłowej" wyniesie odpowiednio w latach 1976—1980 około 25 tys. osób, a z uwzględnieniem tejże migracji około 34 tys. osób. Zasoby maleją także w latach 1981—1986, gdyż wyniosą tylko 10 tys. osób, a w latach 1986—1990 około 11 tys. osób. Jednocześnie procesowi zmniejszającego się przyrostu zasobów pracy żywej towarzyszyć będzie zmniejszenie się czasu pracy oraz trzeba będzie dokonać istotnych zmian w rozdziale zasobów ludzkich na cele produkcyjne i nieprodukcyjne.

Używając określeń... meteorologicznych — po wyżu nadszedł niż. I tak jak było, kiedy to mieliśmy do czynienia z obfitością rąk do pracy, tak i teraz musimy się zabrać do racjonalnego, przemyślanego działania, wziąć się za bary i z tym problemem społeczno-gospodarczym.

Zgoda — tylko w jakim kierunku?

Osobiście sądzę, że nasza aktualna sytuacja wymaga przede wszystkim zmiany postaw i nawyków kierownictwa zakładów pracy. W okresie obfitości rąk do pracy ukształtował się bowiem sposób myślenia, polegający na rozwiązywaniu problemów gospodarczych głównie w drodze zwiększania zatrudnienia. Wiele przykładów i zjawisk wskazuje na to, że takie myślenie ciągle jeszcze dominuje w wielu przedsiębiorstwach i że zmiana sposobu tego myślenia i ukształtowanych przez wiele lat nawyków nie postępuje w sposób równie szybki, jak zmniejszanie się zasobów pracy. Obecnie i w przyszłości nie możemy sobie już pozwolić na istnienie przedsiębiorstw i branż, w których potencjał ludzki nie jest w pełni wykorzystany, gdzie nie przykłada się dostatecznej uwagi do gospodarowania tym najważniejszym czynnikiem produkcji jakim jest praca ludzka.

Na utrzymywanie tych rezerw nas nie stać. Zmieniły się bowiem warunki społeczne i ekonomiczne. Praca ludzka uzbrojona w wiedzę i nowoczesną technikę jest zbyt cenna, a przy tym staje się dobrem deficytowym, by można dopuszczać do jakiegokolwiek marnotrawstwa w tej dziedzinie. W większości zakładów pracy mamy rezerwy ludzkie, które musimy jak najszybciej wyzwolić. Istnienie tych rezerw potwierdzają przeprowadzone dotychczas badania i analizy oraz dokonany przegląd struktury i poziomu zatrudnienia.

Byłoby chyba jednak dużym uproszczeniem sprowadzać cały problem do przemian w dziedzinie świadomości, choć niewątpliwie ona zdecyduje w ostatecznym rachunku. Myślę jednak, że bardzo wiele do powiedzenia mają tutaj organizatorzy produkcji, projektanci — twórcy nowych zakładów, dla których jednym z podstawowych kierunków działania powinno być stwarzanie warunków dla najlepszego to znaczy najoszczędniejszego wykorzystania, gospodarowania czynnikiem ludzkim.

No i proponuję, byśmy na ten problem patrzyli nie tylko przez pryzmat pożytków czysto gospodarczych, ba — jak to się niekiedy robi — technicznych. Brakuje nam nie tylko 11 tys. osób zdolnych do podjęcia pracy w tak bardzo ważnej dziedzinie jaką jest górnictwo, ale również 7 tysięcy salowych, na które czekają wolne etaty w szpitalach.

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny). BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

PRZYJAŹŃ

MAKSYM RYLSKI

★ ★ ★

I znowu otworzyłem księgi „Tadeusza",
Rozłożyłem papiery, zasłoniłem okno,
Znowu szlachta przeciąga w rojnym korowodzie
I w romantyczność drapuje się Hrabia,
I znowu róg myśliwski gra ponad borami,
Jakby wyrzucał w niebo tryumfalny zew.

Znowu mistrza podziwiam, który tak potrafił
Prowadzić swoją niezawodną ręką
Butnych panów. I w ciszy znów zabrzmiały słowa
Potężne niby spiżu uderzenie.

Ale ręka bezwładna już wypuszcza pióro,
Bo oto w moich oczach powstaje i rośnie
Kobieca postać, drobna jak kruszynka...
Cieniutkie dłonie niby para skrzydeł
Podnoszą się w nieśmiałym geście
I wśród warkoczy pierwszy siwy włos
Przypomina o bólu, mówi o jesieni.

Przełożył Jerzy Hordyński

ZYGMUNT GROSBART

Z WIELKĄ MIŁOŚCIĄ

W marcu minęło 80 lat od urodzin MAKSYMA RYLSKIEGO (1895—1964), jednego z najwybitniejszych poetów ukraińskich, a zarazem znawcy i propagatora naszej kultury. Jego nazwisko nieobce jest polskiemu czytelnikowi.

Jeżeli kiedyś powstanie obszerne studium „Polska w twórczości Maksyma Rylskiego", to naczelne miejsce zajmą w nim mickiewiczianą, a przede wszystkim „Pan Tadeusz" Przekład poematu Mickiewicza, dokonany przez Rylskiego na język ukraiński, uznany został za jedno z lepszych tłumaczeń poezji polskiej. Spróbujmy więc prześledzić powiązania życia i twórczości poety ukraińskiego z naszą epopeją narodową.

Trudno wyobrazić sobie osobę bardziej niż Rylski predestynowaną do tak odpowiedzialnego i trudnego przedsięwzięcia, jakim jest tłumaczenie „Pana Tadeusza". Rzadko bowiem łączy się w jednym człowieku tyle potrzebnych ku temu walorów: talent poetycki i translatorski, znajomość kultury światowej, rozmiłowanie w Polsce, jej sztuce i literaturze (zwłaszcza w twórczości Mickiewicza), wreszcie świetne opanowanie języka polskiego, z którym osłuchany był od dziecka.

Urodził się jako syn chłopki ukraińskiej i znanego „narodnika", ukraińskiego etnografa Tadeusza Rylskiego, pochodzącego (jak dowodzą nasi badacze) z polskiej, lub raczej — według słów samego poety — spolonizowanej rodziny szlacheckiej. Językiem ojczystym Rylskiego był ukraiński, jednakże już w dzieciństwie znał on dobrze język polski, przyjaźnił się z rówieśnikami Polakami i z zachwytem słuchał „Pana Tadeusza" w oryginale.

We wczesnej jego twórczości, poczynając od pierwszego tomiku poezji **„Na białych wyspach"** (1910), nietrudno dostrzec powiązania z romantyzmem polskim. Wydaje się też, że pierwsze tłumaczenia Rylskiego — z wyjątkiem sporadycznych i mniej istotnych — dokonane zostały z literatury polskiej i francuskiej. Od tego czasu — aż do ostatnich swoich dni — przyswoił literaturze ukraińskiej szereg wybitnych dzieł poetyckich, od Mickiewicza i Słowackiego po twórców współczesnych. Działalność translatorską Rylskiego porównać można z pracą na tym polu Juliana Tuwima, znakomitego tłumacza literatury rosyjskiej. Puszkin i Mickiewicz byli tymi nieukraińskimi poetami, do których Rylski sięgał najczęściej zarówno w twórczości oryginalnej, jak i w pracy przekładowej.

Wiele było powodów, które mogły zbliżyć Rylskiego do poezji Mickiewicza. Częściowo polskie pochodzenie ukraińskiego pisarza, pierwsze niezapomniane wrażenia dzieciństwa (lektura „Pana Tadeusza), w późniejszym zaś okresie niewątpliwe pokrewieństwo twórcze z geniuszem poetyckim Mickiewicza i jego, tak bliską Tarasowi Szewczence, ideą braterstwa narodów — wszystko to zrodziło uczucie bezgranicznego szacunku i miłości, uczucie wielokrotnie, w różnych okresach życia, manifestowane. W młodości Rylski nazwał Mickiewicza jednym z najdroższych swych nauczycieli, o jego „nieśmiertelnej muzie" mówił w ostatnich słowach poświęconych Polsce.

Niejednokrotnie zwracał się ku Mickiewiczowi w mottach do swych wierszy, a także w tych komponentach poetyckich, które nazwać można rozmowami duchowymi z nieżyjącymi już wielkimi twórcami. W pracach krytycznych o Mickiewiczu, napisanych przez Rylskiego, sporo jest wyrazów podziwu i zestawień polskiego poety z najwybitniejszymi twórcami literatury światowej, m.in. Cervantesem, Puszkinem, Lwem Tołstojem.

Związki między „Panem Tadeuszem" a twórczością Ryskiego są różnorodne, nie zawsze bezpośrednie, nie zawsze w formie aprobującej, by wspomnieć tu tylko poemat **„Maryna"** z 1933 roku, o którym pisał Aleksander Biłecki, znawca poezji Rylskiego:

„Niedawno jeszcze tłumacząc Mickiewicza poeta wraz z nim lubował się pięknem epickim starej szlachty polsko-litewskiej", sympatycznym Wojskim, romantycznym Hrabią, w „Marynie" zaś stworzył odpychające postacie panów — Przemysłowskich i Medyńskiego — kierując ostrze krytyki **„przeciwko romantyzacji przeszłości"**.

Logiczną konsekwencją ogromnej roli, jaką odegrał „Pan Tadeusz" w twórczości oryginalnej Rylskiego, była naturalna dla wybitnego poety i tłumacza chęć przyswojenia arcydzieła Mickiewicza rodzimej literaturze ukraińskiej. W pełni doceniając względy osobiste, autobiograficzne i czysto artystyczne w genezie ukraińskiego przekładu „Pana Tadeusza", stwierdzić jednak należy, iż podjęcie tego przedsięwzięcia w połowie lat dwudziestych XX wieku spowodowane zostało szeroko pojmowanymi zadaniami kulturalnymi, politycznymi i narodowymi. W przedmowie do swego tłumaczenia Rylski podkreślił następujące przyczyny, wystarczające, jego zdaniem, **„aby zwrócić uwagę czytelnika na arcydzieło Mickiewicza"**. Po pierwsze, nie ma na ogół na Ukrainie zadowalających przekładów utworów Mickiewicza, a więc przeciętny czytelnik po prostu nie znał największego poety polskiego. Następnie — dzieło Mickiewicza może poetom służyć ku nauce i pomóc w stworzeniu **„epopei majestatycznych wydarzeń współczesności"**. Poza tym aktualne znaczenie przekładu polegało na tym, że ukazał się on w okresie „burzy i naporu" literatury ukraińskiej, kiedy ścierały się z sobą najrozmaitsze kierunki literackie, od proletkultu do panfuturyzmu, kiedy eksperymentowano na każdym odcinku, kiedy dominował wątpliwej jakości „vers libre". **„Rylski trzymał się na uboczu od tego hałasu** — pisał Biłecki. — **Na hasło destrukcji formy odpowiadał wiernością dla klasycznych jambów, dla kanonicznej strofiki i przekładami arcydzieł literatury światowej"**, wśród nich **„słynną epopeją Mickiewicza „Pan Tadeusz"**. Akcentował w ten sposób swoje powiązania z ojczystą i europejską tradycją literacką oraz znaczenie kulturowej schedy przeszłości dla dalszego rozwoju literatury ukraińskiej.

Pierwsza wersja tłumaczenia Rylskiego ukazała się w roku **1927 w Kijowie.** Do poematu wracał tłumacz wielokrotnie, pracując nad nim do końca życia (szósta redakcja wyszła pośmiertnie w 1964 r.). Przyczyny owych ciągłych powrotów podzielić można na subiektywne i obiektywne. Do subiektywnych zaliczyć trzeba niesłabnący zachwyt Rylskiego wobec arcydzieła Mickiewicza i chęć przyswojenia go w formie jak najdoskonalszej. Oto co pisał na ten temat: **„moją pracę nad przekładem „Pana Tadeusza" uważam (...) za jedną z najistotniejszych spraw mego życia i raz po raz powracam do niej, starając się usunąć błędy i usterki, osiągnąć możliwie najwyższą wierność artystyczną".**

Rozwój Rylskiego jako poety i tłumacza oraz jego wnikliwe studia nad poezją Mickiewicza, by wskazać tu choćby szkice **„O poezji Adama Mickiewicza"** (1955), znacznie pogłębiły jego translatorskie zainteresowania epopeją. Z przyczyn obiektywnych wymienić należy dynamiczny rozwój ukraińskiego języka literackiego, a także ukraińskiej poezji (zwłaszcza jej dużych gatunków literackich) w epoce radzieckiej. Nie ostatnią przyczyną powstawania kolejnych redakcji tłumaczenia mogła być również, powstająca przy udziale samego Rylskiego, tradycja ponownych przekładów tego samego utworu, dokonywanych przez tego samego tłumacza — tradycja, która staje się znamienna dla radzieckiej szkoły przekładowej.

Wyniki czterdziestoletniej pracy nad „Panem Tadeuszem", ukoronowanej słowami najwyższego uznania oraz wysokimi nagrodami i odznaczeniami, nie zadowoliły tłumacza. W swoim wystąpieniu w Polskiej Akademii Nauk w 1956 roku samokrytycznie ocenił swój przekład, podkreślając, że choć dokonał go **„z wielką miłością"**, nie ustrzegł się wielu nieścisłości i błędów, starając się je naprawić w następnych wydaniach.

„Myślę — powiedział w zakończeniu — **że gdybym miał tłumaczyć ten genialny poemat teraz, zadbałbym o jak najściślejsze przekazanie ideologicznych i artystycznych właściwości oryginału".**

U schyłku życia powrócił do tego tematu po raz ostatni, podsumowując swe myśli w słowach pełnych zadumy i rezygnacji:

„Przeglądając i gdzieniegdzie poprawiając swój przekład „Pana Tadeusza" do nowego wydania, czuję, że gdyby stał się cud i powróciła do mnie młodość, to całą pracę rozpocząłbym od nowa i wykonałbym ją po nowemu. Cudów nie ma. Posyłam więc swe tłumaczenie pomiędzy ludzi, trochę je tylko, w miarę swoich sił, wygładziwszy".

Tak pisał — dążący do doskonałości — poeta, który dał swemu narodowi najlepszy chyba przekład epopei Mickiewicza.

Fot. Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

HISTORYCZNY ROZKŁAD JAZDY

Po latach posuchy na historyczne książki o charakterze syntetycznym i zwrotu naszego historycznego pisarstwa do monografizmu nadszedł nowy zwrot: od jakiegoś już czasu jak grzyby po deszczu poczynają się u nas pojawiać najrozmaitsze prace syntetyczne. Droga do syntezy w historii jest jednak trudna, nic więc dziwnego, że w chwalebnym dążeniu historyków do całościowego ujmowania zjawisk przeszłości spostrzec można pewne wahania, a nawet niekonsekwencje, że prezentowane przez autorów syntetyczne opracowania mają bardzo niejednolity kształt. Tak też chyba być musi, jeżeli dążenie do syntezy jest autentyczną tendencją historiografii współczesnej, a nie po prostu zamówieniem wydawniczym. Trzeba wielu lat, aby tendencja ta mogła zaowocować w całej pełni i przynieść czytelnikom historycznej literatury naukowej rezultaty znacznie pełniejsze od tych, których dorobił się historyczny monografizm.

Mamy więc oprócz prób ujęć zmierzających do w pełni integralnego oglądu zjawisk i procesów — przykładem kapitalne dzieło „Polska klasa robotnicza. Zarys. dziejów", któremu wypadnie nam poświęcić niebawem szczególną uwagę — także próby skromniejsze, wśród nich zaś jakże już liczne zarysy o charakterze podręcznikowym. Taki właśnie charakter — bardziej zbliżając się do dobrego podręcznika, niż do wszechstronnej syntezy — ma wiele książek poświęconych całości dziejów różnych krajów. Stanowią one zjawisko bez precedensu w dotychczasowej polskiej historiografii, która na ogół nie hołdowała zbytnio historii powszechnej, zaś o całościowe zarysy obcych dziejów już najmniej się niegdyś kusiła. Ale są jeszcze inne rodzaje książek o charakterze bardziej lub mniej syntetycznym.

Jeden z nich nazwałbym chętnie historycznym rozkładem jazdy: mam tu na myśli prace o charakterze informacyjnym, stawiające sobie na celu ogarnięcie całości określonej w tytule problematyki na sposób... informatora. Że tego rodzaju dzieła są potrzebne, nie można żywić żadnej wątpliwości, że są tym potrzebniejsze, im bardziej dotyczą spraw mało i nie w pełni znanych, zdaje się nie podlegać dyskusji. Jakżeż cenne byłoby przecież, gdybyśmy dostali do ręki np. tego rodzaju kompetentne opracowanie polskiego ruchu robotniczego w jakimś większym okresie czasu bądź ruchów społeczno-politycznych w ogóle?

Na to przyjdzie jednak czas — tym razem mam przed sobą książkę Jerzego Holzera „Mozaika polityczna drugiej Rzeczypospolitej", wydaną przez oficynę „Książka i Wiedza" (1974), pracę mającą na celu przedstawienie w jednym, zwartym tomie całokształtu dziejów partii politycznych w Polsce w okresie międzywojennym. Książka ta ma charakter zarysu informacyjnego i w autorskim zamierzeniu stanowi wstępny etap pracy nad przygotowaniem pełniejszego zarysu problemu, jest „próbą przedstawienia problematyki stronnictw politycznych w II Rzeczypospolitej, próbą podsumowania dotychczasowego stanu badań w tej dziedzinie".

Książka J. Holzera zasługuje na uwagę jeszcze z innego powodu. Należy do dziwnych paradoksów naszego historycznego piśmiennictwa, że nie zdobyliśmy się dotychczas na zarys dziejów polskiej myśli politycznej czasów nowożytnych jako całości. Stare dzieło Wilhelma Feldmana, które doczekało się wznowienia (w przeróbce) w okresie międzywojenym, jest wciąż ostatnią tego rodzaju próbą, na swoje czasy niewątpliwie wybitną, chociaż dziś od dawna już nie wystarczającą. Książka W. Feldmana nie ogarnęła — nie mogła przecież tego uczynić — najnowszego odcinka naszych dziejów, a późniejsza historiografia chociaż uczyniła wiele, nie przyniosła syntezy. Słusznie J. Holzer podkreśla, że dorobek historiografii w zakresie dziejów partii politycznych Polski w okresie międzywojenym „jest już dość znaczny", ma jednak rację i wówczas, kiedy zauważa, iż mimo całej swej obfitości, zawiera on liczne „puste pola", obszary problemowe dotychczas nie rozpoznane, luki które historyk powinien koniecznie wypełnić J. Holzer pisze: „dotychczas prowadzono badania przede wszystkim w dwóch kierunkach: czasami zajmowano się fragmentem dziejów jednej lub kilku partii, czasami określonym problemem życia politycznego, konfrontując koncepcje i działania różnych partii". Obydwa kierunki badań przyniosły ważkie rezultaty, ale pozostawiły też i puste miejsca. Jeżeli jednak nie było ich w przeszłości, czemuż mają mieć miejsce w historiografii?

Powiedzmy wyraźniej: o ile stosunkowo wiele zrobiono w odniesieniu do dziejów partii ruchu robotniczego i partii chłopskich, to znacznie mniej uczyniono, co się tyczy partii prawicy politycznej, ugrupowań obozu sanacyjnego itd., zaś wręcz — jak pisze J. Holzer — „katastrofalnie przedstawia się stan badań dziejów partii politycznych mniejszości narodowych". Nie trzeba wyjaśniać, że skoncentrowanie uwagi na politycznych organizacjach społecznej lewicy w międzywojennej Polsce było potrzebą naszej współczesności, wypływało z dokonywanych przez nas przewartościowań tradycji historycznej, że tego rodzaju preferencje badawcze miały i mają swoje głębokie społeczne i polityczne uzasadnienie. Ale nie oznacza to przecież, aby należało rezygnować z marksowskiego postulatu badania dziejów w ich integralności i wszechzwiązku zjawisk. Nigdy bowiem nie doszlibyśmy do pełnego zrozumienia roli lewicy społecznej i ruchu robotniczego w naszych dziejach, jeżeli rozpatrywalibyśmy je w próżni. Wówczas walka prowadzona przez lewicę mogłaby się stać w czytelniczym odbiorze jakimś bojem z przysłowiowymi wiatrakami, skoro przeciwna strona jest aż tak enigmatyczna i anonimowa... Dlatego wbrew niektórym publicystom, domyślającym się na podstawie faktów pojawiania się w ostatnich latach naukowych opracowań, poświęconych dziejom polskiej prawicy jakiegoś „zwrotu na prawo" w naszej historiografii, widziałbym w tym właśnie dążenie do przezwyciężenia wąskiego spojrzenia na nowoczesną przeszłość Polski. Jego też wyrazem jest w mym przekonaniu ujęcie, zaprezentowane przez J. Holzera.

Historyk przyjął najprostszy, ale bardzo jasny schemat układu materiału — omawiał partie polityczne poczynając od prawicy, kończąc na lewicy i partiach mniejszości narodowych: ukraińskich, białoruskich, żydowskich i niemieckich. Było to w pełni uzasadnione, skoro tematem są dzieje nie polskich partii politycznych, ale partii politycznych w Polsce. Autor jest stosunkowo powściągliwy w formułowaniu ocen, stara się natomiast, aby czytelnik wyrobił je sobie sam w oparciu o zaprezentowany materiał, stąd wiele tu nazw organizacji, nazwisk poszczególnych działaczy itd. Szkoda może, że w swojej powściągliwości poszedł J. Holzer tak daleko, że nie pokusił się o sformułowanie syntetycznych wniosków. Chociaż jeden z możliwych — i to nie bez znaczenia — znalazł się na końcu książki. Międzywojenne dwudziestolecie jest wprawdzie okresem historycznie zamkniętym — powiada autor — przecież jednak dzieje stronnictw wówczas działających „są w pewnej mierze tematem współczesnym". Odbijają się one echem we współczesności, jako tradycje — zarówno te, do których nawiązujemy, jak i tamte, które odrzucamy.

LEKTOR

TELEWIZJA

SPRAWA

Kryzys poniedziałkowego teatru, będącego niegdyś daniem firmowym polskiej telewizji jest zjawiskiem przechodzącym w fazę stabilizacji. Gdzież te czasy kiedy każda premiera telewizyjnej sceny była wydarzeniem kulturalnym, kiedy teatr ten był tworzony przez najwybitniejszych reżyserów i aktorów? Obecnie oczywisty uwiąd tamtych ambicji nie da się bez reszty wytłumaczyć gwałtownym rozszerzeniem socjalnym telewizyjnego audytorium, bowiem nie jest to kwestia realnego rozeznania w możliwościach recepcyjnych nowej widowni, lecz programowych wyobrażeń o niej, które są zbyt prymitywne.

Telewizyjne „Emancypantki" Adama Hanuszkiewicza były inscenizacyjnym fajerwerkiem działającym na prawach wyjątku w smutnej szarzyźnie tego teatru. Przykład ten jest istotny nie tylko ze względu na teatralne umiejętności Hanuszkiewicza, który otrzepał z kurzu poczciwą i wysłużoną powieść pana Prusa, ale dlatego przede wszystkim, że świetność poniedziałkowego teatru, jak i teatru polskiego w ogóle była i jest związana z klasyką literacką. W tej fascynacji klasyką jest niewątpliwie pewna patologia polskiego życia teatralnego, gdyż komentarz płynący ze sceny na temat naszej współczesności pochodzi z ręki klasyków i pozwalając odczytywać się na niepewnych prawach aluzji i analogii wiecznie interpretuje polskie „przeklęte problemy". Ten stan rzeczy bez wątpienia sprzyja bujnemu rozwojowi teatralnej formy, dla której tekst literacki powoli stawał się pretekstem. Ale przecież podniety ideowo-artystyczne, które oferowała dramaturgia współczesna były tak wątłe, że niechęć inscenizatorów do tematu współczesnego wydaje się usprawiedliwiona.

Nie chcę oceniać stanu polskiej dramaturgii współczesnej, bo jest to łup łatwy i tani. Trudno natomiast pisać o zewnętrznych warunkach jej rozwoju, bo więcej napotykamy tu subiektywnych pretensji piszących niż obiektywnych okoliczności. Faktem jest, że okoliczności te są stwarzane bardziej biurokratycznym gestem aniżeli rzeczywista atmosferą ideową.

Byłbym wszakże niesprawiedliwy, gdybym do worka klęsk włożył spektakl „Rówieśnicy", który odważnie nie unikał bolesnych miejsc polskiego losu i nie byłbym dość przewrotny gdybym w poczet tak rzadkich sukcesów telewizyjnego repertuaru sztuki współczesnej nie zaliczył premiery ostatniej czyli „Nie ma sprawy" Władysława Orłowskiego w reżyserii Andrzeja Marii Marczewskiego.

Przewrotność wynika stąd, że to co do tej pory o teatrze telewizyjnym napisałem dość jednoznacznie ustawia perspektywę oceny jego ostatnich poczynań i rysuje niekorzystne tło dla recenzowanego przedstawienia. Trudno mi zatem określić czy pozytywne wrażenie, które narastało w trakcie oglądania spektaklu działało prawem kontrastu w stosunku do kontekstu, w jakim zaistniała sztuka Orłowskiego czy też wynikało z obiektywnej wartości tej propozycji.

Znając wszakże dotychczasową twórczość dramaturgiczną teatralną, telewizyjną i radiową Władysława Orłowskiego wybieram tę drugą możliwość. Tematyka, którą poruszył Orłowski w dramacie „Nie ma sprawy" jest prawie nieobecna w polskiej dramaturgii, mimo iż leży nieomal na ulicy. Chodzi nie tylko o to, że jest to spektakl złożony z sytuacji typowej w sensie gazetowym, choć niecodziennej. Mam na myśli intensywne zainteresowanie autora problematyką moralną.

Powiadamy niejednokrotnie, że pojęcia związane z moralnością wypadają ze słownika naszych czasów, że kwalifikacje etyczne niepokojąco przestają decydować o wartości człowieka. W formie usprawiedliwienia dodajemy często, że nasza epoka nie stwarza sytuacji wystawiających na efektowną próbę ludzkich charakterów. Stąd literatura, w tym teatr i film porzucają ten niewdzięczny region codzienności nie obiecujący zbyt wielkich korzyści. Podejmowanie tematyki moralnej grozi wielkim niebezpieczeństwem rezonerstwa, moralizatorską retoryką i niewczesnym kaznodziejstwem. Aby tego uniknąć należy dysponować doskonałym warsztatem dramaturgicznym, umiejętnością konstruowania konfliktowych sytuacji, celnością dialogu i trafnymi sposobami obyczajowej charakteterystyki. Te elementarne wymogi uwierzytelniające temat i problem Orłowski opanował. Prawda, że malkontenci wybrzydzając na środowiskową egzotykę, w której porusza się jego bohater mogą posądzić autora o płochy zamiar epatowania obrazkami z życia bananowej młodzieży. Pomijając zamierzoną funkcjonalność takiej charakterystyki bohatera trudno oddzielić w jej niekonsekwentnym przeprowadzeniu winę autora od winy reżysera.

We wrażliwym na autentyzm dialogu, który zwłaszcza w drugiej części spektaklu odgrywał dominującą rolę, pewne kwestie mogły zgrzytać niechcianym banałem, który chwilami osłabiał psychologiczną wiarygodność moralistycznego wywodu. Najcenniejszą bowiem wartością warsztatową „Nie ma sprawy" pozostaje dramaturgiczna precyzja w sposobie prowadzenia akcji, dyskretne rozłożenie dramatycznych akcentów i kulminacji. Zwracam uwagę na te walory, bowiem im przede wszystkim obok zwracającej uwagę gry Jerzego Bończaka przedstawienie zawdzięcza swój sukces. Dzięki nim szlachetne intencje autora znalazły swój ludzki wyraz.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

HIPOTEZY (VI)

ERICH von DÄNIKEN

TAJEMNICZE KOŁA i KULE

Istnieją w Tybecie dwie dziwne księgi zwane Kantyua i Tantyua. Po prawdzie, nie można właściwie mówić w tym wypadku o dwu księgach, ponieważ sama Kantyua składa się ze 108 tomów pergaminu liczących 1083 księgi w dziewięciu dużych działach. „Kantyua" znaczy „przetłumaczone słowo „Buddy"; są w niej zebrane święte księgi lamaizmu. Kantyua ma to samo znaczenie dla lamaizmu, co Koran dla islamu. „Tantyua" znaczy tyle, co „przetłumaczona doktryna" i jest 225-tomowym komentarzem do Kantyua. Te, po chińsku napisane księgi zajmują tak dużo miejsca, że trzyma się je w piwnicach domów w kilku wioskach zagubionych w górskich dolinach Tybetu. Poszczególne partie tekstów wyrzeźbione są na drewnianych klockach o długości 90 centymentrów, grubości 10 do 12 i szerokości 15 centymetrów. Ponieważ na jedną stronę pergaminu potrzeba nie mniej niż osiem klocków, zrozumiałe się staje, że księgi muszą być składowane w piwnicach wielu wiosek. Tylko setna część tych tekstów, których daty pochodzenia nie ustalono, została przetłumaczona. W obu tajemniczych dziełach są ciągłe wzmianki o „perłach na niebie" i przeźroczystych kulach, w których mieszkają bogowie ukazujący się ludziom w rzadkich odstępach czasu. Gdyby podjęto planowe i skoordynowane badania naukowe nad Kantyua i Tantyua, dowiedzielibyśmy się prawdopodobnie bardzo wiele o „bogach" i ich dawnej działalności na Ziemi.

W świecie indyjskim za najstarszą księgę uważa się Rigwedę. Zawarta w niej „Pieśń o stworzeniu" powraca ponownie do tematu, którym jest stan nieważkości i ciszy panującej w nieskończonościach wszechświata. Cytuję z książki Paula Frischauera „It Is Written":

„W owych dniach nie było ani niebytu ani bytu. W górze nie byłó ani atmosfery ani nieba. Do czego ono leciało i skąd? Pod czyją kontrolą? Czym był bezkres?... W owych czasach nie było ani śmierci ani nieśmiertelności. Nie było nawet śladu dnia czy nocy. To oddychało zgodnie z własnymi prawami i bez prądów powietrza. Wszystko inne z wyjątkiem tego nie było obecne. Na początku ciemność była schowana w ciemności... Siła życia, która była otoczona pustką — to — zrodziła się mocą swej gorącej potrzeby...

Czy była góra, czy był dół?... Kto wie na pewno, kto tu może powiedzieć, skąd oni pochodzą, skąd przyszło to stworzenie?"

Powinniśmy zwrócić szczególną uwagę na zwrot: „Siła życia, która była otoczona pustką". Będąc ludźmi wieku dwudziestego, trudno nam nie zdać sobie sprawy z tego, że „Pieśń o stworzeniu" nie jest niczym innym jak opisem podróży kosmicznej.

Kto jednak potrafi przekonywająco wyjaśnić, dlaczego na całym świecie ludy starożytne wzajemnie nie wiedzące o swoim istnieniu, posiadały mity o stworzeniu, których zasadniczy rdzeń był ten sam?

W starochińskim poemacie klasycznym Tao-te-king, zawarta jest jedna z najpiękniejszych definicji pochodzenia kosmosu, życia i Ziemi:

„Znaczenie, które można wymyślić, nie jest znaczeniem nieśmiertelnym. Nazwa, którą można nazywać, nie jest nazwa wieczną. Poza nienazywalnym leży początek świata. Po tej stronie nazywalnego znajdują się narodziny istot."

Również zgodnie z tą definicją, początek świata znajduje się poza naszym otoczeniem; po tej stronie — „po tej stronie nazywalnego" — są jedynie „narodziny istot".

Kapłani egipscy wyposażali zmumifikowane zwłoki zmarłych w teksty zawierające instrukcje dotyczące ich zachowania się „po drugiej stronie". Te księgi zmarłych były bardzo szczegółowe: zawierały rady odnośnie każdej możliwej do wyobrażenia sytuacji. Zalecenia miały na celu doprowadzenie do ponownego połączenia się z bogiem Ptah. Jedna z najstarszych modlitw w egipskiej księdze zmarłych jest następująca:

„O, jajo świata! Słuchaj mnie.
Jam jest chórem milionów lat.
Jam jest panem i władcą tronu.
Uwolniony od zła, przekraczam wieki i przestrzenie, które są bez końca."

Jest mi zawsze niezmiernie miło, gdy mogę podbudować interpretację tekstów zdjęciami — a jeszcze bardziej — namacalnymi wynikami pracy kamieniarzy. Jeśli chodzi o koła i kule, to można znaleźć całe ich mnóstwo. W górach Tassili na Saharze algierskiej można zobaczyć postacie w dziwnych kostiumach namalowane na zboczach skał w setkach różnych miejsc. Noszą one okrągłe hełmy z antenami na głowach i zdają się pływać w przestrzeni, jak gdyby nie podlegały prawom ciążenia. Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na kulę z Tassili którą odkrył Francuz Henri Lhote, na spodzie półokrągłej skały. W grupie szybujących par (kobieta ciągnie za sobą mężczyznę) wyraźnie widać kulę z czterema koncentrycznymi kręgami. U góry kuli otwarty jest właz, z którego wystaje całkiem nowocześnie wyglądająca antena telewizyjna. Z prawej połówki kuli wystają, łatwe do rozpoznania, dwie ręce z rozcapierzonymi palcami. Pięć szybujących postaci towarzyszących kuli nosi dopasowane hełmy na głowach — białe w czerwone kropki i czerwone w białe kropki. Czy są to hełmy astronautów?

Gdybyśmy dziś dali dzieciom pudełko kredek i kazali im narysować jak wyobrażają sobie podróż na Księżyc, to w rezultacie prawdopodobnie otrzymalibyśmy coś bardzo podobnego do malowideł z Tassili ponieważ „dzicy", którzy przedstawiali na swoich skalnych malowidłach to, co zapamiętali z odwiedzin „bogów", znajdowali się z pewnością w stadium rozwoju odpowiadającym wiekowi umysłowemu dziecka.

Kula z Tassili nie jest jedynym dowodem, na który się natknąłem. Każdy, kto znajduje się w jednym z miejsc na poniższej liście powinien mieć film w aparacie fotograficznym, ponieważ będzie mógł robić zdjęcia mnóstwa kul i kół oraz będzie mógł do woli łamać sobie głowę nad ich pochodzeniem. Lista jest oczywiście tylko krótkim opisem miejsc wybranych.

Kivik w Szwecji około 50 mil na południe od Simrishamn. W tym znanym grobowcu skalnym zaznaczonym gwiazdką w każdym przewodniku turystycznym znajduje się duża liczba zwykłych kół oraz kół przeciętych linią pionową będących symbolami bogów.

Tanum w Szwecji, na północ od Göteborga. Kilka wspaniałych kul i kół otoczonych wiązką promieni.

Val Camonica we Włoszech, niedaleko niejscowości Brescia. Około 20000 prehistorycznych malowideł a wśród nich wiele promienistych kół oraz „bogów" w hełmach.

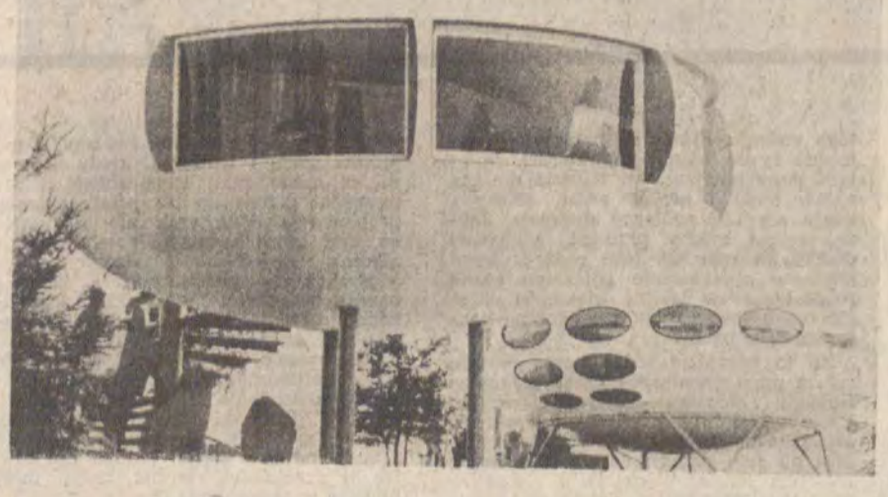

Fot. Archiwum

Fuencaliente w Hiszpanii, około 40 mil na północny wschód od Cordoby. Wiele kul i kół zarówno z promienistymi wieńcami, jak i bez.

Santa Barbara w Kalifornii, 50 mil na północny wschód od Los Angeles. Częściowo przeplatające się ze sobą koła z promieniami.

Inyo County we wschodniej Kalifornii nad jeziorem China Lake. Pierścienie, gwiazdy, kule, różnokolorowe promienie i postacie „bogów".

Podsumujmy: wszystkie kule i koła, czy to w mitach o stworzeniu, na prehistorycznych malowidłach, czy na późniejszych płaskorzeźbach i rysunkach symbolizują „bogów" lub „bóstwa". Promienie są zazwyczaj skierowane w stronę Ziemi. Moim zdaniem ten powszechny zwyczaj powinien dać nam powód do rozmyślań.

Jestem przekonany, że tradycyjne kule i jajka poświęcane bogom mają większe niż tylko religijne i symboliczne znaczenie. Nadszedł czas, aby spojrzeć na te znaki z innego punktu widzenia. Schematy myślowe, którymi posługiwaliśmy się do tej pory mogą być całkowicie błędne. Brakowało nam dotąd warunków, aby w pełni pojąć dziedzictwo „bogów" zawarte w pomnikach i dokumentach po naszych prymitywnych przodkach. Jednakże obecnie, gdy człowiek wylądował na Księżycu, nie powinniśmy dłużej zadowalać się wyjaśnieniami ukutymi w czasach, kiedy człowiek wyobrażał sobie, że jest panem stworzenia.

Koła otoczone promieniami, jajka oraz latające kule nie są odkrywane jedynie na ścianach jaskiń i skał, starożytnych płaskorzeźbach kamiennych i pieczęciach cylindrycznych lecz także w naturze — wykute w twardym kamieniu — w wielu różnych częściach świata, zazwyczaj porozrzucane bezładnie w niegościnnych okolicach.

W roku 1940, profesor Marcel Homet, archeolog mieszkający obecnie w Stuttgarcie, autor znanej książki „Sons of the Sun" (Synowie Słońca), odkrył ogromne kamienne jajo, długie na 100 a wysokie na 30 metrów w górnym biegu Rio Branco w Brazylii. Na tym kolosalnym bloku kamiennym zwanym Piedra Pintada (malowany kamień) Homet znalazł niezliczone ilości liter, krzyże i symbole Słońca, pokrywające powierzchnię prawie 700 jardów kwadratowych. W rozmowie prywatnej zapewnił mnie, że nie ma najmniejszych wątpliwości, iż ten wspaniały okaz nie był wybrykiem natury lecz dziełem wielu kamieniarzy wykonujących swą pracę w ciągu dziesiątek lat.

Jednak prawdziwa sensacja archeologiczna oczekuje na rozwiązanie w państwie Ameryki Środkowej — Kostarice. Setki, jeśli nie tysiące kul wykonanych w kamieniu leży w sercu dżungli, na wysokich szczytach górskich, w deltach rzek i na szczytach pagórków. Ich średnice wahają się od kilku cali do ośmiu stóp (240 cm). Najcięższa z dotychczas wykopanych kul waży osiem ton!

Większość tych tajemniczych przedmiotów wykonana jest z granitu lub lawy. Istnieje znikoma szansa ustalenia dokładnej liczby kul, które kiedyś istniały. Wiele ładnych okazów ozdabia obecnie ogrody, parki i budynki publiczne. Ponieważ jedno ze starych podań mówiło, że we wnętrzu kul można znaleźć złoto, wiele z nich zostało potłuczonych na kawałki. Dziwną rzeczą jest to, że nigdzie w pobliżu miejsc, gdzie znajduje się kule nie ma kamieniołomów, w których można byłoby je produkować. Jak i w innych przypadkach, brakuje śladu mogącego zaprowadzić nas do wytwórców.

Nie tylko nie wiemy kto wytwarzał kamienne kule lecz też nie mamy pojęcia jakich narzędzi używano do pracy, w jakim celu wykuwano je z granitu oraz kiedy się to odbywało. Wszystko, co archeologowie podają jako wyjaśnienie istnienia kul indiańskich (lub jak je nazywają krajowcy — kul z nieba) jest czystym wymysłem. Regionalna legenda mówi, że każda kula przedstawia słońce — możliwa do przyjęcia interpretacja. Jednakże archeologowie odrzucają tę wersję, ponieważ w tych szerokościach geograficznych Słońce zawsze było przedstawiane jako złocisty krąg, koło lub dysk, a nigdy jako kula — ani przez Inków, ani przez Majów, ani przez Azteków.

Jedna rzecz jest całkiem pewna. Kamienne kule nie mogły powstać bez zastosowania urządzeń mechanicznych. Wykonane są w doskonały sposób: są absolutnie kuliste, mają gładko wypolerowaną powierzchnię.

Archeologowie badający kule w Kostarice potwierdzają, że żadna z nich w najmniejszym stopniu nie odbiega od określonej średnicy. Taka precyzja sugeruje, że ludzie, którzy je wykonywali, odznaczali się dobrą znajomością geometrii oraz posiadali odpowiednie narzędzia.

Gdyby kamieniarze najpierw zakopali blok kamienny w ziemi i pracowali nad wystającą jego częścią, to nie można byłoby uniknąć nierówności i niedokładności, ponieważ nie można byłoby wymierzać odległości na części ukrytej w ziemi. Taki prymitywny sposób musi być wykluczony. Bloki kamienne musiały być skądś transportowane, ponieważ nie ma kamieniołomów w pobliżu i samo to musiało być bardzo uciążliwe. Ponadto, bloki musiały być odłamywane lub wycinane ze skały. Mój wniosek jest taki, że wielu ludzi musiało być zaangażowanych przy pracy w ciągu długiego czasu i że musieli oni posiadać narzędzia umożliwiające tak doskonałą obróbkę kamienia.

Nawet jeśli takie wyjaśnienie zostanie przyjęte, to i tak nie tłumaczy ono dlaczego gotowe kule były toczone do określonych miejsc, na przykład, na szczyt góry. Cóż to za absurdalny pomysł i jakie kolosalne zużycie energii! Podaje się jednak wyjaśnienie tego faktu, choć wydaje się ono odpowiednie do umieszczenia tylko w najmniej ambitnych przewodnikach: gigantyczne kule były staczane w dół korytami rzek. Śmiałbym się z takiej naiwności gdyby problem ten nie był dla mnie tak ważny. Ogromne, ciężkie kule po prostu by ugrzęzły w piaszczystym, względnie żwirowym dnie.

Zauważyłem, że gdy archeologowie nie mogą wyjaśnić gigantycznych dokonań w dziedzinie transportu, zawsze uciekają się do tak zwanej teorii toczenia. Jest ona jednakże żałośnie niewystarczająca, kiedy widzi się ogromne kule na szczytach gór. Pewien specjalista powiedział mi kiedyś, że dla wytoczenia kuli ważącej 16 ton trzeba mieć surowy blok o wadze 24 ton. Jeśli zdamy sobie sprawę z istnienia ogromnej ilości kul, to możemy w przybliżeniu określić jakie to olbrzymie masy kamiennych bloków musiały być przesuwane tu w przeszłości.

Widziałem wspaniały świat kamiennych kul i przekonałem się, że ich istnienie zakłóca mój spokój. Chciałem więc także popróbować znaleźć rozwiązanie tej zagadki; kiedy jednak pytałem mieszkańców Kostariki o pochodzenie i znaczenie tych kamiennych przedmiotów, spotykałem się z milczeniem i nieufnością. Chociaż odwiedzani przez misjonarzy i „oświeceni" przez ciągłe kontakty ekonomiczne z Zachodem, krajowcy pozostali w głębi duszy przesądni. Dwaj archeologowie, których pytałem o to w Museo Nacional w San José wyjaśnili, że wykonanie kul związane było z kultem gwiazd, być może także z wyobrażeniem kalendarza jak również ze znakami religijnymi i magicznymi. Cierpliwie wypytywałem ich dalej, ponieważ ich wyjaśnienia nie zadowoliły mnie. W końcu jednak zdałem sobie sprawę z tego, że tajemnica kul była dla nich, z jakichś, niezrozumiałych dla mnie względów, tematem zakazanym.

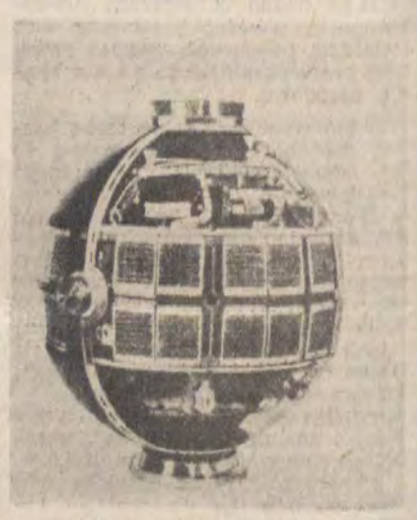

Fot. Archiwum

Gdy archeologowie nie mogli, lub nie chcieli dalej mi pomagać, spróbowałem wypytywać Indian. Mając doświadczenie w obcowaniu z krajowcami w wielu miejscach na świecie, wyczułem od razu, że zaczynali się czegoś obawiać, skoro tylko rozmowa schodziła na kule.

Jest rzeczą niezwykle dziwną, że biedni ci ludzie, którzy zawzięcie targują się o każdy centym, nie chcieli mnie zaprowadzić na 540-metrową skałę z trzema kulami na szczycie, bez względu na to, ile im za to chciałem zapłacić.

Pewien Niemiec, właściciel Pension Anna w San José uważany jest za człowieka posiadającego najwięcej materiałów dotyczących kul. Pokazał mi on wiele imponujących fotografii lecz zachowywał się tak, jak gdyby zależało mu na utrzymaniu tajemnicy ukrytego skarbu. Pokazał mi szkice przedstawiające uformowanie się oraz rozmieszczenie kul tam, gdzie znajdowały się one w większych ilościach lecz odmówił podania ich dokładnego położenia. Nie pozwolił mi nawet przerysować szkiców.

Nawet gdybym tego nie wiedział wcześniej, powinienem się był domyślić w czasie pobytu w Kostarice, że kamienne kule otoczone są jakąś tajemnicą. Nie mogłem jej odsłonić, ale zwiększyła ona moje podejrzenia, że prehistoryczne kule oraz wszystkie wyobrażające je rysunki na ścianach skał a także płaskorzeźby, są bezpośrednio związane z odwiedzinami nieznanych istot inteligentnych — istot, które przybyły na naszą planetę w kuli. Wiedziały już one i udowodniły to, że kula jest najodpowiedniejszym kształtem dla międzygwiezdnych podróży kosmicznych.

Pewnego dnia, w niedalekiej przyszłości rozpocznie się na naszej planecie długa podróż powrotna do gwiazd, prawdopodobnie w pojeździe kosmicznym o kształcie kuli, ponieważ jest to najbardziej naturalny kształt dla pojazdów odbywających loty w głębinach wszechświata.

Opracował:
B. KRAKOWIAN

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot. H. Smigacz

MIECZYSŁAW KUCNER

Mieczysław Kucner — ur. 12 października 1935 roku w Faustynowie pow. Łask — poeta, krytyk, eseista, wydał tomiki poetyckie: „Strona powrotu" (1966), „Imię własne" (1970) oraz tom szkiców literackich „Ewolucja poezji" (1974). Jest absolwentem UŁ (filologia polska), pracuje w Wydawnictwie Łódzkim jako redaktor.

Porównując obydwa tomiki nietrudno zauważyć, że w pierwszym chodziło poecie przede wszystkim o świat — żeby posłużyć się słowami omawianego autora — „który się pojawia w odpowiedziach naszych". Jest przy tym charakterystyczne, że w tomiku tym brak było zupełnie pytań — co może wyglądać na paradoks. Paradoks jednak znika, gdy się przyjmie, że autor programowo traktuje swoje zapisy jako odpowiedzi na pytania, które formułuje za niego ktoś inny i których nie trzeba przytaczać, gdyż są powszechnie znane. Właśnie tym „kimś" — czy raczej, poprawniej, „czymś" — jest świat, rozumiany jako pewna całość aktywna, działająca na nas wielorakimi bodźcami, na które musimy nieustannie reagować — „odpowiadać".

Takie lub podobne ujęcie poetyckie musi zakładać określoną koncepcję świata i człowieka. Człowiek jest tu „człowiekiem behawioralnym", człowiekiem reagującym na bodźce, oglądanym wyłącznie z zewnątrz, człowiekiem więc, o którym możemy się dowiedzieć czegokolwiek tylko i wyłącznie na podstawie jego zachowania, rozumianego jako „od-reagowywanie" na bodźce pochodzące z otoczenia.

ręka daje odpowiedź
noga daje odpowiedź
odpowiedź daje ciało

— stwierdza poeta, co zresztą wystarczająco poświadcza zasadność powyższych spostrzeżeń. I jeśli, dalej, poeta pragnie uchwycić swoistość ludzkiego istnienia, nazywając owo istnienie dialogiem — rozumiemy zarazem, że „persony" tego dialogu nie występują w nim na równych prawach. Aktywną stroną jest tu bowiem świat, podczas gdy człowiekowi przypada zaledwie „odreagowywanie", a więc działanie o charakterze raczej przystosowawczym. Jest to więc dialog, w którym potrzeby przystosowawcze biorą górę, stanowiąc zarazem zespół cenionych wartości. Można zatem również powiedzieć, że i poznanie uzyskuje w takim ujęciu swoiste nacechowanie: jest zredukowane do istnienia, i to istnienia podporządkowanego celom przystosowawczym; poznanie jest zatem o tyle wartością, o ile służy przystosowaniu — jednostek w stosunku do społeczeństwa, społeczeństw zaś w stosunku do świata przyrody.

Ale oprócz naszkicowanego obrazu świata i człowieka jest w omawianej poezji obraz drugi, stanowiący uzupełnienie powyższego o wymiar głębi historycznej. Oto wiersz „Cena słów", dający esencjonalną sumę gorzkiej wiedzy o cywilizacji europejskiej, tej kulturalnej, która zawsze rościła sobie prawo, by stanowić najwyższy, i jedyny wzorzec dla kultury ludzkiej w ogóle:

im głębiej w europę
cena słów wzrasta

aż się u gardła zawęźla
w niewczesny żal stagiryty
ryk zarzynanych ludów
ślepy język humanistyki

im głębiej w europę
w ziemi najbezpieczniej

Nie dziwmy się zatem, że w świecie, w którym istnienie ludzkie jest ciągle zagrożone, cele przystosowawcze są tak wysoko cenione, że urastają do rangi wartości naczelnej, której wszystko inne zostaje podporządkowane.

Drugi tomik realizuje koncepcję diametralnie przeciwną. Człowiek staje się podmiotem aktywnym, tzn. nie ulegającym już wyłącznie pytaniom świata, ale samemu stawiającym pytania. „Kim jestem? Jestem tym, który pyta" — powie poeta w wierszu tytułowym tomu, dając tym samym wyraz przekonaniu, że świat o tyle udostępnia się nam, o ile jesteśmy w stosunku do niego czynni i o ile staramy się go rozpatrywać nie w oderwaniu od nas i naczych czynności poznawczych, ale tropiąc zagadki świata w nierozdzielnej łączności z pytaniami dotyczącymi nas samych. Mówiąc jeszcze inaczej, mielibyśmy teraz do czynienia z przeakcentowaniem, dzięki któremu człowiek przestaje być rozpatrywany jako istota wyłącznie przyrodnicza, a zaczyna być traktowany również i przede wszystkim jako byt podlegający prawom historii w tym, co tworzy i jak tworzy.

Również wcześniej wyróżnione plany: istnienia i poznania — wchodzą teraz w inny typ związku wzajemnego: plan poznania, podporządkowany dotychczas planowi istnienia, autonomizuje się. Jego autonomia pojawia się jako niemożność takiego okrojenia sfery poznania, by mogła ona być bez reszty podporządkowana planowi istnienia, co należy rozumieć tu w tym sensie, iż w planie poznania pojawiają się pewnego rodzaju jakości, niezależne od wyobrażeń już osiągniętych i funkcjonujących w aktualnym planie istnienia. A nawet więcej: rezultaty z planu poznawczego mogą w sposób istotnie nowy oświetlić plan istnienia do tego stopnia, że sens tego planu uzależniony będzie od postępujących naprzód sensotwórczych rezultatów poznawczych; paradoksalnie zaś można by nawet powiedzieć, że plan istnienia (w swym wymiarze sensonośnym) staje się zależny od planu poznania. W każdym razie, wyróżnione plany nie są planami tożsamościowymi (choć mogą się takimi wydawać, gdy rozważamy je w kategoriach „zbiologizowanych" — i tak też było jeszcze w pierwszym tomiku); należy wszakże podejmować wysiłki zmierzające do ich utożsamienia, ale utożsamienia rozważanego poprzez pryzmat takich nastawień, gdzie elementy poznawcze oddziałują w sposób niepomijalnie istotny na elementy istnienia, a więc m.in. na zachowanie, działanie. Chodzi o to, że poprzez nieustannie przyswajane nowe rezultaty poznawcze można radykalnie zmienić sens jawienia się specyfiki ludzkiego istnienia; ten nowy sens to nieustanna modyfikacja pojęcia natury człowieka — człowieka wchłaniającego nie samo istnienie, ale istnienie w działaniu poznawczym. Krótko: jeśli istnienie jest wartością, to jest nią istnienie rozumiane jako poznanie — istnienie poprzez poznanie stale rozwijające się i stale ponawiane.

Uczymy się. Uczymy się gry, ofiarami której stajemy się mimowolnie, gdyż krokom naszym w nieznane towarzyszy ciągłe przesuwanie się granic nieświadomości.

Zważmy, że stwierdzenia końcowe stanowią dokładnie antytezę stwierdzeń, które odnosiły się do tomiku „Strona powrotu". Można by więc powiedzieć, że autor w swych dwóch tomikach zrealizował jak gdyby dwa takty Heglowskiej triady dialektycznej: „tezę" i „antytezę". Czeka go jeszcze osiągnięcie „syntezy", a więc zrealizowanie takiej wizji, która by potrafiła wchłonąć obydwa antytetyczne składniki w całości, nadrzędnie wobec nich usytowanej. Nowe wiersze publikowane w prasie, a przede wszystkim szkice autora z „Ewolucji poezji" (takie jak: „O dialektyczne ujmowanie życia", „Filozoficzne podstawy widzenia poetyckiego", „Czytanie Hegla", „Jedenaście artykułów na temat konstytucji nowej poezji") pozwalają stwierdzić, że jest to przedsięwzięcie nie tylko realne, ale już wyraźnie zapowiedziane konkretnymi realizacjami.

ANDRZEJ BISKUPSKI

PREZENTACJE

Dalszy ciąg ze str. 1

JAROSŁAW NIECIECKI

— Długo Pan był wierny radiu?

— Do wybuchu wojny. Zajmowałem w radiu różne stanowiska. Byłem kierownikiem działu personalnego, sekretarzem generalnym i w 1939 roku pełniącym obowiązki dyrektora rozgłośni.

— A poza adiem?

— Pracowałem w „Dzienniku Wileńskim" i współpracowałem z „IKC" — największą przedwojenną gazetą i koncernem, do którego ta gazeta należała. Robiłem dla „IKC" tzw. bałtykę, czyli wszystko, co zdarzyło się w sporcie na północy Polski oraz w Estonii, Łotwie, a także — o ile dotarły do Wilna o tym informacje — na Litwie. Pisywałem więc do „Światowida", „Raz, Dwa, Trzy" i innych periodyków, które wydawał wspomniany koncern.

Tuż przed samą wojną zdarzyło mi się zrobić wywiad z obecnym prezydentem Finlandii — Urho Kekkonenem, który wówczas był przewodniczącym Fińskiego Komitetu Olimpijskiego. W 1939 roku znalazłem się w Finlandii w związku z przygotowaniami do kolejnej olimpiady w Helsinkach. Olimpiada ta — jak wiadomo — nie odbyła się, gdyż przeszkodziła wojna.

— Jak to się stało, że znalazł się Pan w Łodzi?

— Zaraz po wojnie, po wyzwoleniu Łodzi „Dziennikiem Łódzkim" kierował Anatol Mikułko. On to właśnie zaangażował mnie do obecnie najstarszej gazety Łodzi, nim jeszcze repatriowałem się z Wilna. I tak już przeszło 30 lat przesiedziałem przy tym samym biurku, choć zniszczyłem już przez ten czas kilka maszyn do pisania.

— Cały czas pisząc o sporcie.

— Tak, ale wcale nie dlatego, że sam byłem kiedyś czynnym zawodnikiem.

— Jakie dyscypliny Pan uprawiał?

— Narciarstwo i wioślarstwo. To przede wszystkim, i w tych dyscyplinach miałem pewne osiągnięcia. Uprawiałem także — już z mniejszym powodzeniem, raczej jako dyscypliny pomocnicze — biegi, skok wzwyż, siatkówkę i tenis. Z tenisem nie rozstawałem się przez długie lata. Już w Łodzi ładnych parę lat temu spotykaliśmy się wcześnie rano w parku im. J. Poniatowskiego z byłym redaktorem naczelnym „Głosu Robotniczego" — Sergiuszem Kłaczkowem, Zdzisławem Kozłowiczem, który swego czasu był zastępcą redaktora naczelnego „Dziennika Łódzkiego" i Władysławem Orłowskim, kiedy jeszcze pracował w dziennikarstwie. Spotykaliśmy się, aby pograć w tenisa dla zachowania dobrej kondycji fizycznej.

— Dlaczego więc zajmował się Pan głównie tematyką sportową?

— Nie mam usposobienia zbyt wesołego, gdyż życie nie szczędziło mi różnych tragedii, ale niezależnie od tego nie lubię pisać o smutnych sprawach.

— W sporcie też zdarzają się tragedie.

— Zapewne, ale jak to bywa w każdej walce, przegrana dziś, nie przekreśla szansy na wygraną jutro lub pojutrze. I to jest bardzo optymistyczne. A każdy dziennikarz sportowy powinien być z natury optymistą. Powinien wierzyć w zawodnika i starać się tę wiarę przekazać swoim czytelnikom, którzy są zarazem kibicami sportowymi. Dziennikarz sportowy powinien starać się zrozumieć warunki, w jakich walczy sportowiec, dochodzić prawdy o jego zwycięstwach i porażkach.

Kiedy w 1958 roku byłem na mistrzostwach Europy w boksie, które odbywały się w Warszawie, obserwowałem półfinałową walkę Józefa Kruży. Wygrał ją wprawdzie, ale w bardzo złym stylu. Powiedziałem mu to później: — Panie Józefie, przecież pan jest doskonałym bokserem, wygrał pan, ale w jakże złym stylu. I wtedy on mi się zwierzył, że na godzinę przed walką dostał telefon, umarł mu syn. Mimo tej smutnej wiadomości życzyłem mu, aby zdobył mistrzostwo Europy. I zdobył.

Mówię o tym dlatego, że dziennikarz sportowy nie może rejestrować tylko zwycięstw i porażek zawodników, ale powinien dochodzić do ich źródeł. Modne są u nas ostatnio rozmowy z trenerami. Trenerzy oczywiście mają duże zasługi w sportowych sukcesach, ale o rezultacie walki na ringu, bieżni czy boisku decyduje zawodnik, jego samopoczucie, kondycja, umiejętność jak najlepszego wykorzystania i spełnienia wskazówek i zaleceń trenera. Żeby więc móc komentować sukcesy sportowców, trzeba o nich wiele wiedzieć.

— To, co Pan powiedział, brzmi niczym credo sportowego dziennikarstwa.

— W sporcie można być albo rzemieślnikiem, albo utalentowanym zawodnikiem. Dziennikarz zajmujący się sportem powinien umieć dostrzec talent i umieć go propagować, popularyzować.

Ja na przykład jestem zakochany w talencie Ireny Szewińskiej. To przecież jest niebywałe. Miała już pięć medali, kiedy została matką, ukończyła studia i nie zrezygnowała ze sportu. Powróciła na bieżnię, pobiła dwa rekordy świata, zdobyła jeszcze jeden medal i ma szanse na zwycięstwo w Montrealu.

Utalentowanych sportowców mamy sporo, ale nie tak dużo, jakbyśmy tego wszyscy chcieli. Trzeba więc talenty umiejętnie pokazywać, dbać o to, aby się rozwijały i nie marnowały.

— Sądząc po podanym przez Pana przykładzie, najbardziej lubi Pan lekkoatletykę?

— A nie. Podziwiam również talent Włodzimierza Lubańskiego, Jana Tomaszewskiego, Jerzego Pawłowskiego, Ryszarda Szurkowskiego i Stanisława Szozdy i wielu innych, ale najbardziej lubię ze sportowych dyscyplin boks. Dopatruję się w boksie męskości, walki, która jest bardziej szermierką na pięści niż brutalnym rozkwaszaniem nosów i łuków brwiowych. Oczywiście musi być to boks w dobrym wykonaniu.

Zresztą w każdej dyscyplinie sportowej, kiedy przed oczyma widzów ujawnia się talent, to ściąga na siebie zainteresowanie. I wtedy walka staje się czymś pięknym i godnym najwyższej uwagi.

— Przez lata swojej pracy dziennikarskiej miał Pan niejedną okazję oglądać walkę wybitnych zawodników.

— W 1936 roku na Olimpiadzie w Berlinie widziałem fenomenalnego Amerykanina — Jesse Owensa, który zdobył wtedy 4 medale. Niejednokrotnie miałem okazję podziwiać Jadwigę Wajsówną, Stanisławę Walasiewicz, Janusza Kusocińskiego. I wielu, wielu późniejszych mistrzów i utalentowanych sportowców.

— Dla współczesnych pokoleń kibiców XI Olimpiada z 1936 roku, która odbyła się w Berlinie, to już odległa historia. Co Pan pamięta z tamtej Olimpiady?

— Ogromny kamienny stadion, gdzie walczyli z sobą sportowcy wielu krajów i sprawność organizacyjną Niemców. Już w chwili opuszczenia stadionu można było kupić sobie książeczkę z wynikami rozgrywanych tego dnia konkurencji. Dla dziennikarzy było to znakomite ułatwienie pracy.

— Bywał Pan jeszcze później na igrzyskach olimpijskich?

— Jeszcze trzykrotnie — w 1948, 1952 i 1972.

— Zajmował się Pan sportem w różnych niemal epokach. Przed wojną w prasie sportowej i w radiu, zaraz po wojnie i dziś, kiedy znacznie trudniej jest pisać o sporcie, gdyż kibice dzięki telewizji wszystko mogą sami obejrzeć i sami sobie skomentować. Jakie widzi Pan zatem różnice w pisaniu o sporcie dawniej i dziś?

— Dzisiejsze pisanie o sporcie jest dla mnie zbyt suche. Brakuje mi reportaży, felietonów, a więc tych form, w których można oddać nie tylko przebieg walki, skomentować ją, ale też pokazać zawodnika w różnych jego uwarunkowaniach, oddać klimat życia sportowego. Zdarzają się ciekawe i oryginalne publikacje o sporcie, ale jest ich mało.

A w telewizji? W telewizji można rzeczywiście wiele zobaczyć i samemu sobie skomentować. Tylko, że czasem komentatorzy telewizyjni przeszkadzają w tym. Opisywanie „własnymi słowami" tego, co dzieje się na ekranie i co kibic dokładnie widzi — moim zdaniem — mało kiedy ma sens. Mnie to na przykład przeszkadza. Inni może się już do tego przyzwyczaili. Sądzę jednak, że dziennikarze sportowi z telewizji powinni szukać coraz to nowych form uzupełniania obrazu słowem.

— Czy zdaniem Pana popularność sportu w naszym społeczeństwie jest wystarczająca?

— Po zdobyciu złotego medalu przez skoczka narciarskiego — Wojciecha Fortunę — jak ustaliłem na swój prywatny użytek — w urzędach stanu cywilnego Łodzi najpopularniejszym imieniem dla chłopców było imię Wojciech. To chyba coś mówi.

Myślę, że kiedy gdzieś daleko na stadionie na najwyższym podium staje nasz chłopak czy nasza dziewczyna, to w oczach tych, którzy to oglądają w telewizji czy słuchają o tym w radiu, łza radości zakręci się w oku. Przyznam się, że choć sam bezpośrednio widziałem wiele takich momentów, to do dziś, w takiej chwili, oczy robią mi się wilgotne.

Proszę zważyć, jak bardzo powszechnym stał się konflikt między Ryszardem Szurkowskim a Stanisławem Szozdą. A przecież czasem ważniejsze od tego, kto z nich stanie na podium jest to, aby stał tam nasz kolarz. I tak właśnie myślą tysiące kibiców, gdyż chodzi im o to, aby Polska zwyciężała.

— W swojej karierze dziennikarskiej pracował Pan z różnymi ludźmi, kogo Pan najbardziej zapamiętał?

— Wielu, ale opowiem może najzabawniejszą historyjkę. W 1934 roku otrzymałem polecenie zrobienia sprawozdania radiowego z powrotu do Polski J. Bajana i G. Pokrzywki na „RWD-9" z międzynarodowych zawodów samolotów sportowych „Challange". Sprawozdanie to miałem robić wspólnie z K. I. Gałczyńskim, gdyż Witold Hulewicz uznał, że mówienie bez przerwy przez półtorej godziny będzie męczące dla jednej osoby. Umówiłem się więc z Gałczyńskim, że przyjdzie o tej i o tej godzinie na lotnisko. Zacząłem sprawozdanie, mówię 15 minut, dwadzieścią, pół godziny, a Gałczyńskiego wciąż nie ma. Wreszcie widzę, że pędzi przez zieloną murawę. Ucieszyłem się, że nadchodzi zmiana, ale Gałczyński od razu zapytał mnie, czy mam dla niego pieniądze. Daję mu mikrofon do ręki i pokazuję, że teraz on, że teraz jego kolej. A na to Gałczyński: „Na niebie widzę czerwone wiśnie, to są nasze polskie awionetki". I do mnie — Za 150 złotych tyle wystarczy.

— Czy jest Pan zadowolony ze swojej pracy dziennikarskiej?

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie. Całe życie poświęciłem tej pracy i dziś gdyby mi przyszło jeszcze raz wybierać nie postąpiłbym inaczej. Ale muszę się przyznać, że kiedy codziennie rano przychodzę do redakcji, czekam zawsze na telefon, czekam, że któryś z tych, o kim poprzedniego dnia pisałem, zadzwoni do redakcji i podziękuje, że napisałem o nim prawdę.

— I co?

— Nic. Telefon milczy. A jak dzwoni, to z zawiadomieniem o jakimś zebraniu czy naradzie. Mnie nie chodzi o podziękowanie, chodzi mi po prostu o zwykły gest dżentelmeński.

— Co Pan sądzi o łódzkim sporcie?

— Co tu można sądzić? Trzeba się opierać na faktach, a fakty nie nastrajają optymistycznie. Niby mamy w Łodzi zdolnych juniorów, skąd wobec tego biorą się kłopoty RTS „Widzew" ze skompletowaniem jedenastki piłkarzy? ŁKS istnieje już 60 lat, a niemal stale się martwimy, czy utrzyma się w pierwszej lidze.

— Co Pan przewiduje?

— Wbrew faktom jestem optymistą. Myślę, że i ŁKS pozostanie w pierwszej lidze, i „Widzew" awansuje.

— Kłopotów nam od tego nie ubędzie.

— Dopóki sport na trwałe nie wejdzie do szkół. Wiele nadziei wiążę z Bełchatowem.

— Dlaczego?

— Szybki rozwój tego miasta musi doprowadzić do powstania silnego klubu górniczego. Mam nadzieję, że za kilka lat piłkarskim drużynom ŁKS i RTS „Widzew" wyrośnie groźny konkurent.

— Sądzi Pan, że to zmobilizuje działaczy sportowych do bardziej nowoczesnego myślenia o sporcie?

— Mam taką nadzieję.

— Jest Pan rzeczywiście niepoprawnym optymistą.

— A czy dziennikarz może nim nie być?

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BABRANINA

(dokończenie)

Dalszy ciąg ze str. 1

— **Gdzie idziesz?**
— **Do roboty, chłopaki czekają.**
Albo:
— **Majster czeka!**
To oni wtedy z zazdrością:
— **Równego mata majstra!**
A on:
— **Nie można powiedzieć... Najważniejsze to życiowy stosunek do człowieka.**

A mimo to — i trzeba to przyznać — szybko rosną na Polesiu nowe osiedla. Jedni w pocie czoła pracują, inni popijają, jedni ofiarnie bronią honoru wielkiej rzeszy budowniczych i drogowców, inni — honor ten nadszarpują. Stąd właśnie tak wielkie różnice w wykonaniu poszczególnych bloków — jeden prosty, drugi krzywy, jeden cieszy oko schludnie wymalowanymi ścianami, drugi — pacnięty byle jak.

Na marginesie, brygada górnicza, która odkrywa pośród siebie jakiegoś leniącego się, nie partycypującego w ogólnym wysiłku faceta, z miejsca usuwa go ze swoich szeregów. O tym, żeby ktoś zjechał na przodek pijany, albo usiadł pod ścianą i zasnął, nie może nawet być mowy.

Siedzi drogowiec na stercie chodników i duma. Podszedł do niego kolega. Zapalili. Traktor jakiś wynurzył się zza zakątku przystanął, zaterkotał głośnie, przygasł. Od Bratysławskiej przeciągnęło ścieżką kilku przyodzianych w pomarańczowe kombinezony specjalistów. Czego szukają? O czym myślą? Chyba położą zaraz kawałek asfaltu. Bogać tam! Znaleźli kępkę suchej trawy i przysiedli.

To pole przy ulicy Bratysławskiej jest największą plamą w powojennej historii Polesia. Idąc od Retkini, osiedle Karolew 3 wygląda wspaniale. Wszystkie bloki frontowe, w tym także mój, są starannie i pomysłowo wymalowane, zróżnicowane architektonicznie. Ale dostęp do nich jest niemożliwy; sterty ziemi piętrzą się aż po okna na parterze...

Do kogo mieć pretensję za ten karygodny bałagan? Dlaczego Karolew budowany przez **Spółdzielnię Mieszkaniową „Osiedle Młodych"** jest taki piękny i schludny od Dworca Kaliskiego aż do ulicy Wróblewskiego, a taki zabłocony i zaniedbany w swej najnowszej, reprezentacyjnej części? Naprawdę nie ma sposobu, żeby uporządkować teren?

Fot. Włodzimierz Parys

Jakkolwiek jestem najlepszego zdania o zarządzie spółdzielni, poszedłem tam i stanowczo zażądałem wyjaśnień. Dobrałem się do obszernego pliku dokumentów — monitów, skarg, wniosków, odwołań. No i wyrobiłem sobie pogląd, do kogo należy mieć pretensję.

Generalnym wykonawcą Karolewa 3 jest **ŁPBW — „Dąbrowa"**, natomiast podwykonawcą — **ŁPRI.** Powiernikiem **„Osiedla Młodych"** okazuje się **Zakład Projektowania Przestrzennego „Inwest-Projekt".**

Zarówno powiernik jak i władze dzielnicy od wielu miesięcy starają się zmusić wykonawcę i podwykonawcę do uporządkowania terenu na Karolewie 3.

W 73 roku wszystkie terminy zostały nawalone. W 74 niewiele się zmieniło, choć szło pismo za pismem. Dla przykładu: w ubiegłym roku **„Inwest-Projekt"** i zarząd spółdzielni wystosowali do wykonawców ponaglającą notę 24 czerwca, 26 sierpnia, 25 października. 4 grudnia, przy udziale naczelnika dzielnicy i kierownika budownictwa mieszkaniowego odbyła się w tej sprawie narada Wykonawca i podwykonawca za każdym razem przyrzekali szybko zrobić gruntowne i doraźne porządki, a więc sukcesywnie kłaść asfalt i chodniki, codziennie ściągać z ulic i przejść błoto tak, aby ludzie mogli przynajmniej dojść bezpiecznie do tramwaju.

Niewiele z tych przyrzekań doczekało się urzeczywistnienia. Toteż w bieżącym roku znowu posypały się rozliczne pisma. 10 stycznia **ŁPBW — „Dąbrowa"** (wykonawca) zaapelowało do podległego sobie ŁPRI (podwykonawcy). 17 stycznia **„Inwest-Projekt"** (powiernik), widząc jak indolentne są to apele, wystosował kolejne pismo do **ŁPBW — „Dąbrowa".** Znowu bez rezultatu. Ostatni monit w tej sprawie pochodzi z **11 marca 1975 roku.** Mamy kwiecień, a Karolew 3 w dalszym ciągu tonie w błocie i w ciemnościach, niby piękny, a przecież odcięty od świata, zdany na łaskę losu — bez telefonów i kiosków, nie mówiąc już o trawnikach...

Niektórzy twierdzą, że cała nadzieja w wojsku i w czynie partyjnym. Jak nie zrobi się tu porządków przy udziale sił społecznych, to nie zrobi się w ogóle. Zawodowcy nie mają na takie głupstwa czasu. Kłopoty kadrowe, brak rąk do pracy, konkurencja innych, mniej męczących a bardziej dochodowych profesji. Wiadomo, każdy taki może się obrazić. Dasz mu naganę, potrącisz premię, zwrócisz uwagę, że jest gnuśny albo podchmielony, to powie: bez łaski, znajdę sobie inną robotę!

Fot. Włodzimierz Parys

Niełatwa to sprawa i niemały problem. Tak czy inaczej mieszkańcy ulicy Narciarskiej i Bratysławskiej (w jej końcowym biegu) nie są w stanie tego problemu zrozumieć, jako że w okolicach, po sąsiedzku, młodsze od Karolewa 3 osiedla zostały jednak jakoś uporządkowane, wybetonowane, wyasfaltowane, ba upiększone nawet rzeźbami i kwiatami.

Ktoś wysunie być może tezę o gradacji potrzeb, wspomni, że budowa mieszkań jest ważniejsza od budowy dróg, nie będzie to jednak cała prawda. Karolew 3 nie jest osiedlem emerytów, którzy cały dzień mogą przesiadywać w domu. Ludzie muszą dojeżdżać do pracy, robić zakupy, wychodzić z dziećmi na spacer. Truizmem będzie udowadniać, że są to sprawy najważniejsze, służące podtrzymaniu życia.

Reasumując, Karolew 3 kategorycznie domaga się od wykonawców:

Dróg
Chodników
Latarń
Bezpiecznego przejścia do przystanku
Jednego choćby kiosku z gazetami i...
Budki telefonicznej.

W tym programie „minimum" budka telefoniczna odgrywa szczególne znaczenie, kiedy bowiem nastanie pora deszczów będziemy mogli przez telefon zawołać na pomoc łodzie ratunkowe.

FILM

„EMMANUELLE"

Skandal jest często jedyną drogą zapewnienia sobie choćby chwilowego rozgłosu. Fotograf Just Jaeckin wybrał skandal jako formę nobilitacji przedzierzgając się w reżysera filmowego. Dzięki temu narodził się obraz pod nazwą „Emmanuelle", najgłośniejszy produkt taśmy celuloidowej ostatniego sezonu. Tak myśli się o nim w Paryżu, Londynie, Wiedniu. Tak myślano do niedawna w RFN, dopóki prokuratura nie zakazała projekcji filmu kwalifikując go jednoznacznie jako niebezpieczną dla moralności pornografię.

Ale „Emmanuelle" nigdy nie udawała dzieła moralnego. Od początku reklamowana była jako erotyczny skandal, podobnie jak pamiętnik Emmanuelle Arsan, który stanowił podstawę scenariusza. Pamiętnik ten utorował sobie drogę do czytelnika i utorował drogę do widza filmowi „Emmanuelle", ryzykując więc pół miliona dolarów na kosztowny wyjazd z ekipą do Syjamu Just Jaeckin nie ryzykował w gruncie rzeczy pieniędzy, bo wiedział doskonale, że przedsięwzięcie to opłaci mu się sowicie. Po sukcesie kasowym „Ostatniego tanga w Paryżu". Po sukcesie „Ostatniego tanga w Hamburgu", o którym, w Polsce przynajmniej było mniej głośno.

O „Emmanuelle" wciąż jeszcze jest głośno. Każdy szanujący się tygodnik społeczno-kulturalny w naszym kraju poświęcił temu filmowi przynajmniej kilka publikacji rozpalając wyobraźnię czytelnika. Zdjęcie roznegliżowanej Sylvii Kristel, modelki, holenderskiej, którą Jaeckin w ostatniej chwili zaangażował do kreowania głównej roli, obiegło niemal całą prasę. Negliż dotyczy górnych partii modelki, podczas gdy w filmie eksponowane są przede wszystkim partie dolne, ale to niewinne fałszerstwo nie ma w gruncie rzeczy większego znaczenia, bo „Emmanualle" jest przede wszystkim filmem o alienacji, o poszukiwaniu ciepła i zrozumienia, a mimo swego wyuzdania odwołuje się do staroświeckich sentymentów. Tym paradoksem tłumaczę sobie jego powodzenie na Zachodzie, gdzie nie brak filmów bardziej wyuzdanych schodzących z ekranu już po kilku seansach. Ale też widz udający się do kina pornograficznego nie oczekuje niczego więcej niż ruchomych fotografii aktu kopulacji, co nawet najwytrwalszych nuży już po kilku ujęciach, bo pomysłowość w tych sprawach ma swoje granice.

Z punktu widzenia moralności „Emmanuelle jest bardziej niebezpieczna niż standardowy skandynawski film pornograficzny, którego akcja sprowadza się do czynności fizjologicznych. Przede wszystkim „Emmanuelle" cechuje realizacyjny rozmach. Egzotyczne plenery spełniają w niej quasi estetyczną funkcję, fotografowane są urokliwie. Ten inny, azjatycki pejzaż wytwarza w świadomości europejskiego widza efekt obcości, a jak już wspomniałem, film, chociaż ocieka spermą, mówi wszakże o alienacji ratując się rozpaczliwie przed posądzeniem o pornografię. „Emmanuelle" mówi także o życiu luksusowym, bo mąż bohaterki jest dyplomatą i mieszka w luksusowej willi przypominającej pałac udzielnego księcia, z tuzinem azjatyckiej służby, która traktuje go jak pana i władcę.

Korpus dyplomatyczny w Bangkoku stanowi właściwą oprawę środowiskową pobudliwej Emanueli, która jak przystało na emancypowaną mieszczkę kocha należeć do high life. Samo miasto ze słynną świątynią Aruna, miejsce dość niezwykłe a w każdym razie egzotyczne uwierzytelnia niezwykłość przeżyć bohaterki. Bo Jaeckin dba o niezwykłość. W drodze do męża Emmanuelle trzykrotnie oddaje się w samolocie przygodnym mężczyznom, jakby jeden taki wypadek nie przekonał nas dostatecznie o jej zagubieniu. Bo, jak już wspominałem, Jaeckin dba o rozmach i z rozmachem buduje, a właściwie gwałci nastroje, popadając w wielkie materii pomieszanie. Jest to stylistyka kiczu, jest to ciąg artystycznych sprzeniewierzeń, w którym fałsz rodzi kolejne fałszerstwo przedstawiane z tupetem i jeszcze większym rozmachem. I kiedy obserwuje się serię erotycznych przygód Emanueli można pomyśleć, że w całym Bangkoku nie ma ani jednego prawdziwego mężczyzny z wyjątkiem Mario (jego rolę gra Alain Cuny), który jest w filmie wyrafinowany, ale w jego męskość możemy także powątpiewać.

Cóż więc chciał osiągnąć Jaeckin? Czy chciał nam ukazać dramat, a ściślej groteskę, niemożności? Czy może bardziej prozaiczny powód: forsa? Znając dotychczasowy przebieg kariery zawodowej fotografa specjalizującego się w zdejmowaniu gołych modelek nietrudno sobie odpowiedzieć na to wcale nie retoryczne pytanie.

Ale Jaeckin nabrał nie tylko przeciętnego widza. Jaeckin podszedł sprytnie także krytykę na Zachodzie, która rozdmuchując do niepojętych rozmiarów skandal z „Emmanuelle" przyczyniła się do powodzenia filmu, upatrując w nim nowe jakościowo zjawisko: agresywność seksu przenikającego każdą dziedzinę życia. „Emmanuelle" jest niewątpliwie filmem niemoralnym, nie dlatego wszakże, że obraża dobre obyczaje. Nie dlatego także, że jest produktem zboczonej wyobraźni i topornej pornografii. Jest filmem niemoralnym, gdyż, jak w każdym kiczu, nieuczciwe są jego intencje artystyczne. Razi w nim nie to, co zostało przedstawione, tylko partacki sposób wykonania, tupet wobec miałkości sprawy, pozory filozofowania, płycizny psychologizmu. Te zarzuty wydają mi się znacznie ważniejsze od tego, czy Sylvia Kristel negliżuje się od góry czy od dołu i czy jej niewątpliwie zgrabna pupka jest dostatecznym pretekstem, żeby wypełnić nią cały ekran.

KONRAD FREJDLICH

SPRAWY LUDZI

DZIECKO

Urodziło się i rosło dziecko. Dziecko to niechętnie ssało mleko, odrzucało wsuwaną mu w rączki grzechotkę, odrzucało butelkę ze smoczkiem — raziło je światło, raziła je ciemność. Dziecko rosło, nie lubiło pantofelków i bucików, nie lubiło także chodzić boso. Dziecko — a był to chłopczyk — rosło niejako wbrew swej woli. Odrzucało zabawki i ubranka, niszczyło książki z obrazkami. Wstrętem przejmowały je litery, a jednak szybko nauczyło się czytać i pisać. Dziecko nie lubiło wierszy, nie znosiło prozy, miało w nienawiści cyfry, a przecież szybciej od innych dzieci nauczyło się arytmetyki. Wydawało się, że wszystko co dorośli proponują dzieciom, dziecko kiedyś już znało i potępiło. Ludzie dorośli budują świat dziecka ze składników własnego świata, a raczej z makietek tych składników. Zamiast prawdziwego telefonu — teleton zabawka, zamiast prawdziwego czołgu — czołg zabawka. Skrzynka pomniejszych narzędzi stolarskich, ślusarskich, mały budowniczy, mały astronauta.

Mały chłopiec doznawał wielkich upokorzeń w każde święto, w każde imieniny. Krył się z prezentem przed dorosłymi i niszczył go szybko, celowo. Pod choinką leżały owinięte w barwne wstążeczki nowe obelgi. Obrażano po podarunkami za to, że był grzeczny, kiedy był niegrzeczny obrażano go podarunkami w zamian za poprawę. Chłopiec płakał i jęczał „ja nie chcę, nie chcę". Nie chciał świata, który mu proponowano, a nie umiał wyprodukować samodzielnie świata stosownego dla siebie. Chłopiec nie znał „Psychologii indywidualnej" Alfreda Adleta, nie wiedział, że typ jego reakcji modeluje się na całe życie, że „z układów prostych o funkcjach bezpośrednich", przejdzie do „układów skomplikowanych o funkcjach złożonych", że przysposobi się do gromadzenia „zapasu mocy". On raczej gromadził „zapas słabości".

Jego nienawiść do siebie rozrosła się do nienawiści rodziców, kolegów, nauczycieli, ludzi, którzy przechodzili ulicą, ludzi, którzy trzepali dywany. Proponowane zabawy były udręką. Chłopiec nigdy za nikim nie tęsknił, cieszył go każdy wyjazd, martwił każdy powrót.

Powoli rodzice zaczęli rozumieć, że rośnie im chłopiec nietypowy, pełen pogardy, chłopiec gotów do walki ze wszystkim co istnieje. Zmartwieni powiedli chłopca do lekarza. Był to lekarz wysoce wykształcony i mądry. Wszystko wysłuchał, wszystko zbadał, a przynajmniej uwierzył w to, że wszystko wysłuchał, wszystko zbadał. „To dziecko niezwykłe" szepnął rodzicom „przypadek dezintegracji pozytywnej" — kto wie może będzie wielkim uczonym, wielkim działaczem, wielkim...". W głębokiej zadumie wracali rodzice do domu z synem pomazańcem. Ułożyli do łóżka nakryli go kołdrą, a on nienawidził łóżka, kołdry, nienawidził pieszczących go rąk.

W stołowym pokoju rodzice siedzieli do późnej nocy rozmyślając o zbawieniu świata.

BERNARD SZTAJNERT

KSIĄŻKA

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

CZŁOWIEK SZTUKA I SENS ŻYCIA

W końcu 1974 roku zmarł przedwcześnie Wasilij Szukszyn — reżyser, aktor, scenarzysta i pisarz. Ukończył Moskiewską Szkołę Filmową jako uczeń Michaiła Romma. Miał okazję przedtem poznać także inne zawody — był kierowcą, nauczycielem, marynarzem i działaczem społecznym. W r. 1959 wydał pierwszy tom opowiadań „Mieszkańcy siół". W Polsce wydano jego powieść „Rodzina Lubawinów" (1967). zbiór opowiadań „Jest taki chłopiec", (1966) oraz w r. 1974 wybór najlepszych opowiadań „Rozmowy przy jasnym księżycu". Szukszyn jest twórcą filmów: „Jest taki chłopiec", „Wasz syn i brat", „Dziwni ludzie", „Pogwarki", „Kalina czerwona". „Kalina czerwona" została pokazana na tegorocznych Konfrontacjach. W filmie tym, ukończonym na krótko przed śmiercią Szukszyna, zawarta jest niezapomniana osobowość człowieka i artysty, bo jest to film w pełni autorski — Szukszyn jest reżyserem, autorem scenariusza i odtwórcą głównej roli i jest równie znakomity jako reżyser, aktor i scenarzysta. I patrząc na ostatni fragment filmu nie wiemy już kto umiera — Prokudin czy Szukszyn. Film ten wymaga odrębnego eseju, opisującego go nie tylko w kontekście twórczości filmowej Szukszyna, ale także tradycji literatury rosyjskiej i rosyjskiego malarstwa. Jest w nim Rosja, kraj rozległy i pełen dalekich dróg, Rosja Szukszyna i Jesienina, Dostojewskiego i Czechowa.

Szukszyn pochodził ze wsi, i krytycy zawsze podkreślali ogromny wpływ pochodzenia na jego twórczość filmową i literacką. Środowisko bohaterów to środowisko wiejskie, któremu przez zetknięce z cywilizacją miejską grozi utrata tożsamości. Mimo niewątpliwej słuszności tych uwag wydaje się, że nie można ograniczyć się do jednopłaszczyznowej charakterystyki twórczości Szukszyna. Jego powieść „Rodzina Lubawinów" istotnie jest książką tylko o dziejach wsi syberyjskiej w latach dwudziestych. Szukszyn mistrzostwo osiąga dopiero w krótkich formach — w swoich opowiadaniach poprzez losy wiejskich ludzi dociera do problemów egzystencjalnych.

* * *

„Na wzgórzu polana, na polanie chatka". Tak zaczyna się opowiadanie Szukszyna „Żyć się chce". Zaczyna się jak film. I kończy się jak film obrazem — pointą. Kopiec śniegu, usypany nad zabitym starym myśliwym. Chłopak — morderca odchodzący ze zdobytą strzelbą. Słońce za jego plecami. W powietrzu śnieg.

Jest to opowiadanie znakomite. Tak znakomite, że w antologii najlepszych światowych opowiadań powinno się znaleźć obok opowiadania Flannery O'Connor „Trudno o dobrego człowieka". Tym bardziej, że wymowne byłoby zestawienie właśnie tych dwóch utworów. W jednym i drugim morderstwo, poprzedzone rozmową, która nie jest tylko zdawkową wymianą zdań. Morderstwo bez pasji i nienawiści, ale dla ochrony własnej wolności i bezpieczeństwa, dlatego że „żyć się chce".

W chatce na polanie mieszka stary myśliwy. Naokoło jest tajga. On tajgę zna, tajgi się nie boi. Patrzy z politowaniem na „miastowych", którzy bez jego pomocy zginęliby w tej tajdze, mimo wszystkich swoich mądrości. Stary Nikitycz wierzy w istnienie dobrych ludzi. Uważa, że sam jest dobrym człowiekiem. Pewnego wieczoru do chatki przychodzi chłopiec. Niespokojny, nieufny uciekinier z dalekiego miasta, z więzienia. Nikitycz przyjmuje go pod swój dach, dzieli się z nim jedzeniem. Rozmawiają ze sobą. W niewyszukanych słowach toczy się dialog o wolności. Przed świtem chłopiec ucieka ze strzelbą starego. Nikitycz goni go, zabiera strzelbę, a potem oddaje, aby nie zginął w tajdze. Chłopiec z tej strzelby strzela do starego i zabija go. Potem odchodzi. Ale prawdopodobnie na swoją zgubę. Mówił mu Nikitycz, że, aby dojść do wsi musi mieć słońce z lewej strony, a on ma słońce za plecami. Ten drobny szczegół nadaje opowieści charakter moralitetu. A także słowa Nikitycza: „Tu jest tajga i wszyscy są jednakowi. Zapamiętaj to sobie. Bo inaczej kark skręcisz, nim dobiegniesz do swojej wolności... Znajdzie się i na ciebie odważny człowiek. Ukrzywdzisz go ot tak sobie, za nic, on ci wtedy pokaże, czym wolność pachnie".

Opowiadania Szukszyna trzeba czytać bardzo uważnie, aby takich szczegółów nie przeoczyć. Jest on pisarzem maksymalnie zwięzłym, jakby za pisarską dewizę przyjął słynne zdanie Czechowa: „Sztuka pisania to sztuka skracania". Zresztą nie tylko dlatego przypomina się przy czytaniu opowiadań Szukszyna Czechow. Podobnie jak on, umie Szukszyn zarysowywać małe scenki, osadzone w bardzo konkretnej sytuacji i, zdawałoby się, wcale nie pretendujące do niczego więcej poza opowieścią o zdarzeniach, które urastają do rozmiarów wielkich syntez. Podobnie jak Czechow umie w najprostszych sytuacjach dostrzegać problemy egzystencjalne. Podobnie jak Czechow jest mistrzem sztuki przemilczania. Jego idee pisarskie wynikają z działań bohaterów, ale przede wszystkim z obrazów, zarysowanych kilkoma zdaniami. Ale zdania te tak są dopasowane, że między nimi kryją się ogromne obszary niedopowiedzianego. Te obszary wypełnić może obraz filmowy. Jest to literatura wyrywająca się w stronę innej sztuki. Nie jest przecież przypadkiem, że reżyserzy filmowi z upodobaniem posługiwali się i posługują tekstami Czechowa. Jego przemilczenia prowokują do interpretacji. W wypadku Szukszyna niewątpliwy jest wpływ jego pracy jako reżysera na formę opowiadań.

Są to prawie gotowe scenariusze, z wyraźnym zaakcentowaniem pewnych obrazów i sytuacji i zostawieniem miejsca na filmową interpretację. W opowiadaniu „Żyć się chce" zaakcentowany jest zarówno obraz początkowy, jak i końcowy. Na początku chatka, spokojna przystań wśród tajgi, która jest nie tylko tajgą, ale bezkresną przestrzenią wokół człowieka — w przestrzeni tej może on znaleźć pełnię życia; ale może znaleźć także śmierć, w zależności od tego, czy przestrzega praw tajgi, czy je lekceważy. Już pierwsze zdanie opowiadania, sam pomysł chatki w lesie, prosty morał płynący z całej historii — wprowadzają atmosferę baśniową. Jest to baśń — przypowieść o tym, jak człowiek zabija człowieka w drodze do wolności. Baśń ludowa o tym, jak nie wolno płacić złem za dobro. Ale baśń bez kropki nad „i". O wszystkim zadecyduje tajga — przestrzeń życia lub śmierci. Baśń została opowiedziana w słowach szorstkich, niemal brutalnych. Właśnie ten sposób opowiadania w zestawieniu z baśniowym pomysłem stwarza niezwykły efekt pisarski. W tradycyjnej czechowowskiej nucie pojawia się nowy ton — nie jest przecież Szukszyn imitatorem wielkiego pisarza.

Chłopiec zabija starego myśliwego w imię wolności i miłości życia. Problemy egzystencjalne w twórczości Szukszyna nie są filozoficznymi abstrakcjami, lecz nurtują one i dręczą jego bohaterów. Można w związku z tym mówić o głębiach duszy chłopskiej, ale równie dobrze można by np. mówić o głębiach duszy farmerskiej u Faulknera. Nie tylko o to chodzi, oczywiście. To prawda, bohater Szukszyna nie jest inteligentem. Jest chłopem, ale chłopem, którego dręczy chandra. Chandra przychodzi do Maksyma (w opowiadaniu „Wierzę").

„W dni świąteczne opadała go szczególna chandra. Jakaś jadowita, przenikająca aż do trzewi... Maksym fizycznie wyczuwał to ścierwo: jak gdyby niechlujna, niezupełnie zdrowa baba, bezwstydna, z przykrym zapachem z ust, obmacywała go całego rękami — głaskała i chciała pocałować — znowu! znowu się zwaliła".

Maksym tłumaczy swojej babie, skąd chandra się wzięła. Otóż Maksym ma duszę i ta dusza go boli, w co jego baba uwierzyć nie może. Więc Maksym idzie do popa i tam, nad butelką spirytusu odbywa się dysputa o sensie życia, zakończona wspaniałą sceną tańca.

Przyczyną cierpień człowieka jest to, że „ma duszę", że nie wystarcza mu jedzenie i spanie, przyczyną cierpień jest to, że człowiek żyje. Pozytywni, jeżeli można tak powiedzieć, bohaterowie Szukszyna, to ci, których często ogarnia chandra egzystencjalna, bo oni mają tej duszy więcej niż inni. Możliwe, że uśpioną chandrę budzi kontakt z lasem, z polem, z ziemią, bo ludzie z ziemią związani są smutniejsi. Ludzie z miasta (pogardliwe „miastowi" jak u Bunina) niosą ze sobą bezmyślną wesołość i stereotypy zachowań, które nie są niczyją indywidualną własnością. Ci, którzy uciekli ze wsi do miasta, ciągle tęsknią, jak ten chłopiec, który po wizycie ojca — wieśniaka śnił o koniach hasających na łące, lub ten Griszka — „miastowy" brat chłopa, który po kilkudziesięciu latach, przed samą śmiercią przyjechał odwiedzić ziemię rodzinną. Ucieczka od ziemi, ucieczka od smutku jest ucieczką od siebie, prowadzi do zatracenia swojej tożsamości. W jednej z powieści Faulknera człowiek wraca z więzienia do rodzinnej wsi. I nagle pragnie być blisko ziemi — kładzie się na niej i ogarnia go spokój. Matka — ziemia ze starych mitów, woła. Podobnie jest u Szukszyna.

W różnym wieku są bohaterowie Szukszyna — młodzi i starzy. Krok w krok za nimi chodzi śmierć (trudno to nazwać obsesją, raczej jest to głęboka świadomość przemijania) i dlatego tak piękne wydaje im się życie.

„Na starość należałoby spokojnie myśleć o śmierci. A wtedy właśnie odsłania się przed człowiekiem cała ukryta, zdumiewająca, wieczna uroda życia. Ktoś tam chce, aby człowiek na ostatek nasycił się nią do bólu. I żeby odszedł. I odchodzą. Kroki ich zdają się podzwaniać cichutko i urywanie, jak podzwaniają wędzidła zmordowanych koni. Jak cudownie, jak okrutnie cudownie było żyć! I tak się nie chce odchodzić!"

Nie było dla Szukszyna nigdy większej wartości niż życie. Był artystą, ale życie było dla niego ważniejsze niż sztuka, na temat której potrafił ironizować. W opowiadaniu „Wania, a ty tu skąd" chłop przyjeżdża do miasta i tam dopada go reżyser filmowy, poszukujący „typu" do filmu. Ale niestety, autentyczny chłop nie pasuje do przygotowanego wcześniej scenariusza. Reżyser nie traci nadziei, że uda mu się go jakoś dopasować, ale Wania rezygnuje. Tęskni za rodzinną wsią i do niej wraca. To wyznanie Szukszyna, że sztuka jest bezsilna wobec pełni życia, jest tym dobitniejsze, że niejednego rodzaju sztuki próbował. I miał tę gorzką świadomość, że nie to było najważniejsze.

FILM

A' PROPOS „URODZINY MATYLDY"

Twórczość **Jerzego Stefana Stawińskiego** umieścić można w najznakomitszym rozdziale historii powojennego filmu polskiego. Mam tu na myśli jego twórczość literacką. Autor scenariuszy do filmów **„Człowiek na torze"**, **„Eroica"**, **„Zezowate szczęście"**, **„Kanał"**, **„Miłość dwudziestolatków"** (nowela Wajdy), **„Zamach"** miał swój bezsporny udział w sukcesach „szkoły polskiej". Na tych tytułach nie kończy się zresztą jego scenopisarska współpraca z filmem. Wspomnijmy tu przykładowo, że był również współscenarzystą filmu „Krzyżacy".

Osobie Jerzego Stefana Stawińskiego przypisujemy na gruncie polskiego kina inicjację tzw. buntu scenarzystów. Jego pierwszym sygnałem był publikowany w miesięczniku „Odra" w 1963 roku artykuł Stawińskiego pt. „Literat, scenarzysta, reżyser". Analizując relacje zachodzące pomiędzy zawartymi w tytule artykułu zawodami, zastanawiał się Stawiński nad zagadnieniem autorstwa dzieła kinowego. Rozważanie swe zakończył następującą konkluzją: **„Przypuszczam, że dzięki postępowi techniki i uproszczeniu produkcji filmów, coraz bardziej będzie zanikać podział na te zawody, z których pierwszy dostarcza treści, a drugi obleka ją w formę — i pozostanie jeden: człowiek, który będzie miał coś od siebie do powiedzenia na taśmie filmowej".**

Bunt Stawińskiego, jak wiemy, nie zakończył się owym wspomnianym manifestem, przyoblekał on kształty konkretne. W owym 1963 roku **Jerzy Stefan Stawiński** debiutował filmem **„Rozwodów nie będzie"** jako reżyser. Od tego czasu, wedle własnych scenariuszy, zrealizował pięć filmów. W latach 1963—75 powstały: **„Pingwin"**, **„Przedświąteczny wieczór"** (zrealizowany razem z żoną, Heleną Amiradżibi), **„Kto wierzy w bociany"** (również razem z żoną), **„Godzina szczytu"** i **„Urodziny Matyldy"**. Podaję te daty, by uzmysłowić fakt, że Stawiński realizował swe filmy na przestrzeni dwunastu lat, które są wystarczająco długim czasem dla ujawnienia talentu twórczego czy po prostu tylko umiejętności realizatorskich.

Wspomniane filmy dość bezlitośnie ujawniają pomyłkę, która stała u progu decyzji o „robieniu" filmów przez bohatera naszych rozważań. Pomyłką, zaszyfrowaną już w cytowanym wyżej fragmencie artykułu Stawińskiego. O wartości dzieła filmowego nie decyduje bowiem **„postęp techniczny i uproszczenie produkcji filmów"**, co, zdaniem Stawińskiego, ułatwia literatowi-scenarzyście **„powiedzenie czegoś od siebie na taśmie filmowej"**. To **„coś"** idzie w parze z tym — **„jak"**, to oczywiste.

Nie ulega kwestii, że w filmach z okresu „szkoły polskiej" Stawiński, Munk i Wajda mieli „coś" do powiedzenia, artyści kina nadali też tekstom literackim Stawińskiego formę filmową, która owo „coś" potęgowała. Toutes proportions gardées. Ani **„Pingwin"**, ani **„Przedświąteczny wieczór"**, ani **„Urodziny Matyldy"** wreszcie, w swym założeniu autorskim nie zawierały tej wagi problematyki, którą miały tamte filmy lat „szkoły polskiej". Stawiński zmienił krąg swych zainteresowań, jego „autorskie" filmy skierowane zostały w stronę współczesnej problematyki obyczajowej i podbudowane głównie zainteresowaniami psychologicznymi. Spośród wspomnianych filmów najżyczliwiej przyjęto dwa pierwsze — **„Rozwodów nie będzie"** i **„Pingwin"**. Pewnie dlatego, że filmom tym towarzyszyło swoiste zainteresowanie, ale także dlatego, że przy ogólnym, już wówczas, ubóstwie problematyki współczesnej odznaczały się te filmy swoistą świeżością i wyczuwalną sympatią autora wobec młodzieńczych bohaterów tych utworów. A młodzi na filmy o sobie, tak jak i dziś, czekali.

Dalsza filmowa twórczość Stawińskiego, idąc obyczajowym i psychologicznym tropem, zaczęła jednakże brnąć poprzez pokłady grzechów większości polskich filmów o tematyce współczesnej. Pozory konfliktów, stereotypy zachowań i reakcji, fałsze szczegółów obyczajowych — to przecież nie tylko grzechy filmów literata, który chciał być reżyserem filmowym i został nim. Stawiński udowodnił, że można być w polskim filmie reżyserem, nawet jeśli nie ukończyło się uczelni do zawodu tego przygotowującej. Nie gorszym zresztą niż wielu profesjonalistów. Robi swe „autorskie" filmy przy współpracy z zawodowcami — no i dobrze. Któż z widzów nie wtajemniczonych odróżni je od dziesiątków innych

Casus Stawiński ujawnia bowiem, że w kinematografii polskiej (poza znanymi powszechnie wyjątkami) filmy „robić" jest bardzo łatwo Taśma filmowa zniesie wiele, taśma, na której rejestruje się (czytaj: i l u s t r u j e) opowieści przy biurku wymyślone. A to w końcu bardzo proste, gdy ma się do dyspozycji zespół warsztat znający, na czele z aktorem i operatorem Tylko to już za mało, skoro również widz polski przekonany został o tym, że film jest sztuką, która umie opowiadać inaczej niż literatura i pokazywać inaczej niż fotografia, ilustracja czy obraz plastyczny.

Fot. CWF

Cytowana wypowiedź Stawińskiego pochodzi z roku 1963. Przypomnienie jej byłoby chwytem nieuczciwym, gdyby nie to, że filmy późniejsze łącznie z **„Urodzinami Matyldy"** potwierdziły owo niezrozumienie przez literata inności sztuki, w której się do dziś wypowiada. Jego usprawiedliwieniem jest generalny kształt potocznego kina polskiego, w obrębie którego filmowa działalność Jerzego Stefana Stawińskiego kontynuowana zapewne będzie.

W kontekście tego, co zostało powiedziane, nie zgłaszam pretensji do Stawińskiego — filmowca, choć można mieć ich wiele. Zgłaszam pretensje do Stawińskiego — literata, o to, że ma tak mało „od siebie do powiedzenia" nie tylko „na taśmie filmowej". Piszę to, myśląc, między innymi, o „Urodzinach Matyldy"

EWA NURCZYŃSKA

W Dniach Kultury Radzieckiej prezentujemy nowe przekłady Igora Sikiryckiego, zasłużonego tłumacza poezji wielu narodów Kraju Rad. Określenie „poezja narodów" wydaje się tu najstosowniejsze, jeśli zważyć, że spod pióra Sikiryckiego wyszły przekłady dwóch dzieł klasycznych dla starych kultur: gruzińskiej („Witeź w tygrysiej skórze") i armeńskiej („Dawid z Sasunu"). Nie ma też przesady w stwierdzeniu, że większość z nas, dzieckiem będąc, zaciągnęła dług czytelniczej wdzięczności wobec tłumacza słynnego „Konika Garbuska" Jerszowa oraz autora kilkudziesięciu opowieści o biedronkach, Królu Gwoździku, raku łobuziaku, szewcu czarodzieju, rycerzu Chwalipięcie i innych mieszkańcach młodej wyobraźni. A dodać jeszcze trzeba tom fraszek i szereg wierszy lirycznych (zwłaszcza z tomu „W stronę Kolchidy"), by jako tako ogarnąć w skrócie obszerny dorobek pisarski Sikiryckiego.

Dziś przedstawiane utwory ukazują (poza wierszem Mikołaja Tichonowa „Warszawska Syrena") fragment współczesnej liryki azerbejdżańskiej. Warto przy tej okazji zastanowić się, jak ciekawym jest w istocie ów charakterystyczny dla tej, egzotycznej dla nas, poezji splot refleksji nad teraźniejszością z twórczym respektem dla rodzimej tradycji kulturowej, zasobnej w mity i ludowe legendy.

WARSZAWSKA SYRENA

W tę noc na strzępy poszarpaną
Wszystko z łoskotem w dal leciało,
Pulsując niby dno wulkanu
I wszystko się Warszawą zwało.
Ciemność, co nagle w krąg zawisła,
I dziwnych trąb ochrypłe wycie,
I deszcz, i ta spieniona Wisła,
I nawet wiatr, co chmury chwycił.
Gdyby nie kres tej zawieruchy,
Nie wytrwałbym na ziemi dłużej,
Bo nocą starej Polski duchy
W swój taniec zaciągnęły burze.
Gdy dwakroć silniej wyć na nowo
Jęła piekielna ta arena —
Unosząc tarczę nad mą głową,
Warszawska skryła mnie syrena.
Wtedy ujrzałem miecz nade mną,
Drzemiące w oczach błyskawice
I z namiętnością na wpół senną
Śledziłem zmienne jej oblicze.
I w moje życie weszła oto
Taka, jak wtedy się zjawiła,
Na poły z dumą i tęsknotą
Z ziemską radością, z nową siłą.
I teraz zawsze już w Warszawie,
Choćbym bez celu szedł ulicą,
Jej czarodziejska siła sprawia,
Że staję przed nią, przed dziewicą.
I tam wspominam, czoło chmurząc,
Że życie nieraz czarne było
I z jaką to śmiertelną burzą
Jej także walczyć przychodziło.
W stolicy wzrosłej ze zgliszcz, zwalisk,
Stała się wszystkim bardziej bliska
Jak geniusz, który miecz ocalił
I domowego żar ogniska.
Jej widok dla mnie jest niezmienny,
Nic go nie zatrze w żaden sposób.
Widzę nie zwykłą twarz syreny
Lecz pełne zmian oblicze losu

MIKOŁAJ TICHONOW

STRAŻNIK ZIEMI

Dokoła niego ani krzty zieleni,
Przy drodze rozbił namiot tuż nad jarem
I trwa w bezruchu wierny strażnik ziemi,
A mgła poranna srebrzy mu konary.
Pierś jego pełna legend, baśni, podań,
Nocami księżyc muska go w przelocie...
Droga, co kiedyś biegła nie opodal,
Przy samym pniu wymyka się spiekocie.
O jakże często gromonośne chmury
Siłę swych pięści na nim próbowały,
Lecz on w milczeniu znosił ciosy z góry,
Jak ci, co przeszli przez nieszczęść nawały.
Pod jego strzechą, w dniach burzliwej pory,
Szukali ludzie schronienia przed deszczem.
Dziuplę pokryły traw gęste kędziory
I mchem obrosłe gałęzie szeleszczą.
We wnętrzu krain przeszłości i cienia
Jeszcze nie wszystkie drabiny sie skryły.
Na jego piersiach bitewne wspomnienia
Kule zbłąkane głęboko wyryły.
Są tu bagnetów ślady niby rany
I czyjeś słowa z rozpaczy wycięte.
Są i gałęzie wichrem połamane,
Są i konary dawno już wyschnięte.
Być może jest on oporą obłoków
Tych, które pełzną z gór w nizinne strony,
A te korzenie wbite w piach głęboko
To orła groźnie zakrzywione szpony.
Na młodych pędach widnieją w zieleni
Rany zadane kamieniami z procy...
Czym dłuższe życie, tym dłuższe cierpienie
Ileż w nim drzemie uporu i mocy?
I oto stoi strażnik gór odwieczny,
Władca pór roku, jasności i cieni,
Jak mocarz, który niebo wziął na plecy,
Stoi dąb, po pas zanurzony w ziemi.

ILIAS TAPTYG

TO JA

Wiosną jak w ekstazie, błądzić po swym kraju —
to ja!
Wędrować przez kwiaty, pośród pól i gajów —
to ja!
W domostwach pradziadów zapalać lichtarze —
to ja!
W pracy jak robotnik serce swe rozżarzyć —
to ja!
Zrywający róże u przyjaciół co dnia —
to ja!
Żar serca dający swej Krainie Ognia —
to ja!
Mieniący swój naród murem niezachwianym —
to ja!
Zakochany w kraju i przez kraj kochany —
to ja!
Nie sokół, nie krzeczot z chmur śledzący ziemię —
to ja!
W Sawałanu piersiach nie mit, nie marzenie —
to ja!
Wijący na nogi ścieżki z górskich zboczy —
to ja!
Strzegący oczami dziewcząt pięknych oczy —
to ja!
To nie wierchy w górach, we mgłach i zamieci —
to ja!
W deszczu jako ryba zaplątana w sieci —
to ja!
Z Araksem zranionym w jego mowie gwarzyć —
to ja!
Na obrusie z solą i ojczystym chlebem —
to ja!
Z pałającym sercem o kochanej marzyć —
to ja!
Znów płomienne pieśni jak sztandar pod niebem —
to ja!
Przenoszący kwiaty z łąk do oczu własnych —
to ja!
O, ludzie, wiodący każdy dzień swój jasny —
to ja!

1964

SULEJMAN RUSTAM

KLUCZ

Zgubiłem klucz
Zamknięte pozostały drzwi.
Komu powiedzieć?
Kogo spytać?
Gdzie odnaleźć?
Zgubiłem.
Szukam beznadziejnie i rozpaczam.
Jeśli bym zamek zgubił
Nie zamartwiałbym się tak.
Zgubiłem klucz.
Klucz!

MAMED ALIM

ŻAGIEL

Niby jagnię w ciszy
Czarne Morze drzemie.
Szczyty gór wygięte,
Jak rogi jelenie.
Morze swoje łono
Przed statkiem odkryło.
Tajemnym doradcą
Naszych serc jest miłość...
W oczach ty i morze —
Bezkres lazurowy.
Czemuś moje serce
Zakuła w okowy?
Morza się nie lękasz,
Gdy pogodę wróży,
Kiedy dookoła
Ani śladu burzy.
Gdybyś ty wiedziała
Ile niepokoju,
Jakie straszne burze
Drzemią w sercu moim...
Jeśli sztorm się zerwie
I nadleci z dala,
Tu na środku morza
Pochłonie nas fala.
Lecz ty się nie lękasz,
Ciebie to nie trwoży,
Wierzysz, że ja zdołam
Sztormy upokorzyć.
Ale ja przy tobie
Stoję jak zaklęty,
Bezradnie wpatrzony
W przepastne odmęty...

Czy ty mnie pojmujesz? —
To mnie teraz nęka...
Żagiel mego życia
Tylko w twoich rękach!

TALET EJUBOW

* * *

Pod ciężarem owoców
Dorodna
Ku ziemi gałązka się zgina.
A obok —
Gałąź bezpłodna
Dumnie ku niebu się wspina.

FIKRET SADYCH

Podczas tegorocznych Dni Kultury Radzieckiej bawić będzie w naszym kraju znany na wszystkich kontynentach Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny im. M. Gorkiego. Od blisko osiemdziesięciu lat teatr ten kroczy w awangardzie rosyjskiej i radzieckiej sztuki scenicznej.

Powstał na przełomie XIX i XX w., w latach ożywionych ruchów społecznych i politycznych. Powszechnie uważa się iż MChAT ukształtował się w pracy nad wystawieniem „Mewy" Czechowa. Stąd mewa wyszyta na kurtynie stała się jego symbolem. Wkrótce po „Mewie" wystawiono „Wujaszka Wanię", „Trzy siostry" i „Wiśniowy sad". MChAT odkrył Czechowa, w jego sztukach znalazł ucieleśnienie tych wartości ludzkich, których pragnął być nosicielem i wyrazicielem. Następnie na scenę MChATu weszły utwory Gorkiego; wymowa polityczna jego utworów pogłębiła realizm nowego teatru, nadając mu odpowiednią rangę społeczną.

Dzieła tych dwóch pisarzy, Czechowa i Gorkiego stały się zasadniczym kryterium w ocenie i doborze utworów, które włączono do repertuaru Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Odtąd, w ciągu całej swej historii teatr ten angażował do twórczej pracy utalentowanych pisarzy radzieckich — Konstantyna Trieniowa, Aleksandra Afinogienowa, Aleksandra Korniejczuka, Leonida Leonowa, Walentyna Katajewa, Michała Bułhakowa, Konstantego Simonowa i innych. Na jego scenie zadomowiły się sztuki dramaturgów radzieckich i zagranicznych, które czyniły zadość wymogom jego programu — poruszać istotne zagadnienia życia człowieka i społeczeństwa.

Moskiewski Teatr Artystyczny nazywa się kolebką i szkołą teatru radzieckiego. Sztuka Wachtangowa i Meyerholda, Tairowa i Zawadskiego, Towstonogowa, Jefriemowa i innych słynnych reżyserów bierze początek w MChATcie. Na jego scenie grali wybitni aktorzy I. Moskwin, W. Kaczałow, L. Leonidow, O. Knipper-Czechowa, M. Tarchanow.

Już Stanisławski i Niemirowicz-Danczenko marzyli o zakładzie naukowym, którego absolwenci uzupełniliby kadry teatru. I oto w najcięższym okresie Wielkiej Wojny Narodowej rząd radziecki podejmuje decyzję powołania wyższej uczelni teatralnej. Zrodziła się szkoła-studio MChATu z dwoma wydziałami: aktorskim i reżyserskim. Dzisiaj prawie połowa zespołu MChATu to absolwenci szkoły-studia.

Obecny repertuar Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego jest niezmiernie bogaty. Codziennie podnoszą się kurtyny trzech scen mchatowskich, a ze sceny przemawiają bohaterowie Czechowa, Gorkiego, Gogola, Pogodina, Schillera, Cronina, Rollanda i dramatopisarzy radzieckich.

Do Polski MChAT przywiezie między innymi głośną sztukę Bokariewa „Hutnicy". Oto co o tej sztuce mówi obecny reżyser teatru Oleg Jefriemow: „W każdym przedstawieniu chcemy mówić z widzem o tym, co nas dzisiaj nurtuje. W całej pełni spektaklem takim są „Hutnicy". Tajemnicą powodzenia sztuki jest według mnie to, że wprowadzamy widza w sam gąszcz problemów nurtujących załogę robotniczą w naszym dziesięcioleciu. A po drugie — staraliśmy się odejść od wszelkich szablonów: i w pokazaniu stosunków wzajemnych bohaterów sztuki, i w ukazywaniu życia duchowego każdego z nich.

Prawdziwa sztuka nie może ograniczyć się tylko do dwóch kolorów, czarnego i białego. Nie ma sztuki bez półtonów, tak jak w życiu; dobre i złe strony ludzkich charakterów nierzadko objawiają się niemal jednocześnie. Jako takich żywych ludzi, z całą ich siłą i wszystkimi słabościami chcielibyśmy właśnie poddać naszych bohaterów osądowi widzów".

Wystawienie „Hutników" miało charakter eksperymentu. Sztuka ta rodziła się w murach MChATu. Jej autor — Giennadij Bokariew zamieszkał nawet w teatrze i nocami dopisywał obrazy i poprawiał niektóre sceny. Sztuką żyli wszyscy — aktorzy, plastycy, elektrycy, inspicjenci. Za współautorów uważani są także robotnicy i kierownicy moskiewskich zakładów „Sierp i młot". Aktorzy tkwili przy martenach, a robotnicy obecni byli w teatrze na próbach. „Było to potrzebne nie po to, żeby na scenie kopiować życie, ale żeby uzyskać zgodne z prawdą odzwierciedlenie stosunków między ludźmi. Pragnęliśmy w naszej sztuce o hutnikach pomówić o najważniejszych zagadnieniach etycznych i moralnych, które nurtują ludzi różnych zawodów".

Niedawno reżyser tego przedstawienia, O. Jefriemow, scenograf I. Sumbataszwili i W. Rasewietajew za wystawienie „Hutników" zostali laureatami Nagrody Państwowej ZSRR.

„INTERPOL" OFERUJE KAŻDĄ USŁUGĘ

Z prasy amerykańskiej, publikującej wciąż nowe informacje na temat sprzecznej z prawem działalności CIA i FBI wynika, iż w Stanach Zjednoczonych już od dawna funkcjonuje szeroko rozgałęziony system kontrolowania prywatnego życia obywateli oraz działalności różnych organizacji politycznych i społecznych. Co więcej, wywiadem wewnętrznym i, jak się okazuje, nie tylko wewnętrznym trudnią się także setki prywatnych firm detektywistycznych.

Jeszcze nigdy dotąd nie tonął kraj w takiej powodzi szpiegów wszelkiego rodzaju, wywiadowców i kontrwywiadowców, tajnych specjalistów do spraw analizy informacji wywiadowczej, tajnych rezydentów, detektywów, agentów, prowokatorów, przeróżnych łączników itp., itd.

Burzliwy rozwój tej „detektywistycznej wspólnoty" rozpoczął się w latach powojennych. Jest to następstwem niebywałej „koniunktury" w zbieraniu informacji, której towarzyszył gwałtowny rozwój techniki, pojawienie się nowych metod zbierania informacji i ich opracowywania, jak na przykład skonstruowanie satelitów-szpiegów, zastosowanie komputerów do systemów analizy i.in

Nie można powiedzieć nic pewnego o zakresie oddziaływania tej osobliwej „społeczności". Wszak budżety niezliczonych organizacji wywiadowczych są tajne, wszystkie operacje osłonięte głęboką tajemnicą Asygnowane środki przeznaczone dla jednego urzędu wpływają do budżetu innego urzędu, personel wojskowy kryje się za jakimkolwiek cywilnym parawanem, a pracownicy zatrudnieni w jednym resorcie są w rzeczywistości podporządkowani innemu.

Trudno wymienić dokładną liczbę pracowników amerykańskich organów wywiadowczych. Z danych senatora Proxmayera wynika — pisze publicysta Jim Howhen na łamach „Harpers Magazine" — iż w 1973 r. na służbie rządu USA pozostawało ich około 148 tysięcy. Jednakże liczba ta nie jest pełna, obejmuje bowiem tylko „centralny sektor wywiadowczy", gdzie „klasycznym" wywiadem trudnią się specjaliści. Mówiąc konkretniej dane te obejmują tylko pracowników urzędów, które są wymienione w radzie konsultatywnej do spraw wywiadu. Są to: Centralne Biuro Wywiadowcze, Federalne Biuro Śledcze, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa, Urząd Wywiadu Pentagonu, Biuro Wywiadu i Sprawozdań Departamentu Stanu oraz różne organy wywiadowcze wojsk lądowych, marynarki i lotnictwa, Komisji Energii Atomowej i Ministerstwa Finansów. Natomiast nie są do nich wliczeni „niepaństwowi agenci", zwerbowani w innych krajach i otrzymujący pieniądze z federalnego budżetu, zakamuflowane firmy, które działają ze środków służb wywiadowczych oraz ogromna liczba detektywów rozrzuconych po „otwartych" urzędach państwowych, jak na przykład Federalny Urząd Podatkowy, Ministerstwo Sprawiedliwości i inne.

Popyt na „specyficzne usługi" szpiegów nieustannie rośnie. Jest to konsekwencją faktu, iż w USA władze coraz bardziej utożsamiają się z posiadaniem informacji. W planie politycznym i ekonomicznym silniejszy jest ten, kto ma do swojej dyspozycji informacje niedostępne dla szerokiego ogółu społeczeństwa. Oddziaływanie szpiegowsko-przemysłowego kompleksu na życie kraju jest tym bardziej niebezpieczne, że wszelkiego rodzaju operacje wywiadowcze są ukryte przed oczami osób postronnych.

Tylko na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia powstały dziesiątki, jeśli nie setki, prywatnych tajnych agencji, zatrudniających ponad 32 tysiące detektywów. Pojawiło się ponad 4 tysiące firm, trudniących się sprawami bezpieczeństwa i kontrwywiadu. Składają się na to dwie przyczyny. Po pierwsze — co roku setki agentów poczuca pracę w urzędach państwowych i zaczyna „praktykować" prywatnie. W 1973 r. ponad tysiąc agentów zajmujących wysokie stanowiska w CIA wtopiło się w masę innych zdymisjonowanych wywiadowców, wykonujących przeróżne prace zlecone. Wielu z nich chciałoby pracować w sferze swojej specjalności. Tu jednak wyłaniają się pewne trudności, bo gdzie mogą „prywatnie" pracować na przykład „spece od puczów", czy spece od dezinformacji"? Znajdują więc zajęcia konsultantów w zakresie zarządzania", „doradców w kwestiach kadrowych" czy „specjalistów w dziedzinie kontaktów ze społeczeństwem" itp. Drugą przyczyną pojawienia się zorganizowanego prywatnego aparatu wywiadowczego jest powstanie wielonarodowych korporacji, które nierzadko nazywa się „państwem w państwie". Metafora ta wyjątkowo trafnie określa istotę rzeczy.

Czy jeśli chodzi o zachowanie w głębokiej tajemnicy wewnętrznych informacji, czy o przenikanie do kół rządowych krajów Bliskiego Wschodu, czy o finansowanie kontrrewolucji w Ameryce Łacińskiej — te wielonarodowe giganty przemysłowe czy handlowe wolą działać samodzielnie. Dążąc do zachowania swoich pozycji oraz zwiększenia zysków, korporacje wydają miliony dolarów na tworzenie własnych służb wywiadowczych. Ta nowa strategia jest antydemokratyczna w swej treści, zakłada bowiem tajne manipulowanie instytucjami i opinią publiczną. Doświadczenie agentów jest wszak w końcowym wyniku doświadczeniem wojskowym. Wykorzystywanie tego doświadczenia przez wielonarodowe korporacje skłania do sformułowania wniosku, iż faktycznie przyznają one sobie prawo do nadawania wojskowego charakteru ich stosunkom z innymi krajami, rządami i społeczeństwami.

Tak szerokie rozpowszechnienie szpiegomanii jest brzemienne co najmniej w dwa niebezpieczne następstwa. Po pierwsze — nad społeczeństwem amerykańskim zawisła groźba przekształcenia ludzi w posłuszne marionetki, których działalnością w życiu codziennym kierują zza parawanu „władcy umysłów", o czym kontrolowani nie mają pojęcia. Jako przykład masowego ogłupiania amerykańskiego społeczeństwa można przytoczyć niesłychane zamieszanie, zainspirowane przez monopole naftowe w celu uciszenia ograbionych konsumentów.

Drugie niebezpieczeństwo polega na tym, że rozwinięty przemysł prywatnego szpiegostwa grozi przekształceniem w fikcję niemieszanie się rządu w prywatne sprawy obywateli. Agenci wywiadu porzucający urzędy państwowe w imię prywatnej praktyki nierzadko wynoszą z pracy nie tylko swoje doświadczenie i wiedzę, lecz także swoje kontakty i stosunki. Częstokroć byli pracownicy tych urzędów mają nieoficjalny dostęp do tajnej informacji i nie ulega wątpliwości, że niektórzy z nich mogą wywierać wpływ na działalność instytucji, które opuścili.

Po wielu latach studiów nad zorganizowaną przestępczością stała senacka komisja śledcza wkroczyła obecnie w tę sferę. Amerykańskich senatorów szczególnie niepokoi szerokie rozpowszechnienie się „pracy w kilku instytucjach" urzędników federalnych, dostarczających prywatnym agencjom wywiadowczym poufną informację. „Zdymisjonowani" agenci mogą, w taki lub inny sposób, wpływać na przebieg dochodzeń prowadzonych przez organa federalne. Praktykuje się „wspólne operacje" prywatnych organizacji wywiadowczych i urzędów państwowych. Bardzo podejrzane są liczne przesunięcia szeregu urzędników federalnych na wyjątkowo dochodowe stanowiska w korporacjach przemysłowych. Istnieją uzasadnione podstawy do przypuszczeń, iż podobna praktyka jest zjawiskiem stałym. Na owej kanwie „wspólnych operacji" stwierdzono na przykład zadziwiająco uprzedzającą uprzejmość, jaką zademonstrowali urzędnicy Ministerstwa Sprawiedliwości wobec miliardera amerykańskiego Hovarda Housea, kiedy ten przejmował w swoje ręce przemysł gier hazardowych w Nevadzie.

Jeśli chodzi o dostęp do tajnych informacji, można przytoczyć taki fakt: pewien pracownik państwowy złożył niedawno skargę, że filia korporacji „Ecsson" w Wenezueli, firma „Creol Incorporated", asygnuje na cele wywiadowcze więcej środków niż ma w swojej dyspozycji miejscowa agentura CIA. Po uświadomieniu sobie tego faktu, obie instytucje: „Creol Incorporated" i CIA połączyły swoje służby, wychodząc z założenia, że co jest dobre dla „Creol", jest oczywiście dobre i dla Ameryki.

Jak pracują prywatni detektywi? Najbardziej interesujące byłoby zbadanie działalności firm, które proponują klientom „pełny komplet" usług szpiegowskich i operacji, które w bezpośredni sposób godzą w interesy obywateli kraju. Jest to jednak niemożliwe. Takich firm jest mnóstwo, ich dokładna liczba jest nieznana, bowiem prywatne agencje wywiadowcze w swej pasji tajemniczości dochodzą nieomal do anonimowości. Tylko od czasu do czasu nazwy to jednej, to drugiej wypływają na łamy gazet. I tak, Amerykanie dowiedzieli się nagle o nader energicznym zbieraniu informacji o mieszkańcach Florydy przez firmę „Wakenhath Corporation" i o wykonaniu przez nią tajnych badań na temat „komunistycznej infiltracji w rejonie Morza Karaibskiego. To i owo przeniknęło na zewnątrz o operacjach prywatnego biura szpiegowskiego „Dector Counterintelligence", o działalności „Mehon Associations" która, jak chodzą słuchy, zorganizowała dwa zamachy na życie Fidela Castro. Rzucono też nieco światła na tarcia między właścicielem tej firmy szpiegowskiej a miliarderem Howardem Housem, jak również na jego transakcje z greckim milionerem Stavrosem Niarchosem. Jednakże najlepszym przykładem działalności prywatnej organizacji szpiegowskiej jest „International Intelligence Incorporated", zwanej w skrócie „Intertel".

„Intertel" zatrudnia wielu wysoko wykwalifikowanych agentów specjalizujących się w przeróżnych dziedzinach włącznie ze śledzeniem i zatrzymywaniem przestępców. Firma jest „bankiem" najprzeróżniejszych informacji oraz centrum opracowywania danych. „Intertel" jest kompetentny w sprawach buchalterii, w systemach elektronicznych, w zbieraniu informacji przy pomocy najnowocześniejszych urządzeń elektronicznych, itp, itd. Sztab firmy mieści się w jednym z domów w Waszyngtonie, kilka kroków od Białego Domu. „Intertel" ma filie w Londynie, na Wyspach Bahama w Toronto, w Detroit, Nowym Jorku i Los Angeles. Właściciele firmy odmawiają pokazania wykazu swych klientów, wiadomo jednak, iż z jej usług korzystają giełdziarze, bankierzy, właściciele gazet, lotnisk, kompanii ubezpieczeniowych spelunek gier hazardowych, właścicieli międzynarodowych korporacji, a nawet niektóre rządy. Wiceprezydent „Intertel" mówi, że jego firma nie robi różnic między amerykańską i zagraniczną klientelą, ale opiera się przede wszystkim na pięciuset wielkich kompaniach, których rejestr publikuje czasopismo „Fortune"...

JERZY CZECH

■ Rozwój przyjaznych stosunków z Belgią
■ Struktura władzy w Portugalii
■ Izba Gmin głosuje „za".

Tydzień bogaty w wydarzenia. Tak można by zrekapitulować to, co przyniosły ostatnie dni na arenie międzynarodowej. Najwięcej uwagi na świecie poświęca się wciąż wydarzeniom w WIETNAMIE PŁD i na BLISKIM WSCHODZIE. Ale punktami zainteresowania są także, zresztą z różnych powodów, stolice europejskie: WIEDEŃ, LIZBONA, LONDYN... WARSZAWA w relacjach agencyjnych wymieniana była przede wszystkim z powodu wizyty premiera i ministra spraw zagranicznych Belgii, uwieńczonej podpisaniem kilku dokumentów, a w tej liczbie **uroczystej deklaracji o umocnieniu przyjaznych stosunków i współpracy.**

O klimacie wizyty i rozmów naszych przywódców z belgijskimi gośćmi świadczy wypowiedź premiera Leo Tindemansa na konferencji prasowej: — Gdyby wszystkie rozmowy międzypaństwowe przebiegały w tak dobrej atmosferze, jak obecne w Warszawie, z pewnością w świecie panowałoby już całkowite i zupełne odprężenie.

Punkt pierwszy wspomnianej deklaracji określa, co Polska i Belgia, należące przecież do różnych układów, uznają obecnie za najistotniejsze:

„Obie strony potwierdzają swój zdecydowany zamiar podejmowania lub popierania kroków w celu przyśpieszenia procesu odprężenia i uczynienia go nieodwracalnym oraz umocnienia bezpieczeństwa wszystkich państw poprzez szeroką współpracę w różnych dziedzinach ich stosunków".

Pomyślne zakończenie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, wsparcie odprężenia politycznego — militarnym, co przydaje znaczenia rokowaniom wiedeńskim, umocnienie i uniwersalizacja układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej będą miały dla tego celu wielkie znaczenie.

Zainteresowanie Polski i Belgii nie ogranicza się tylko do kontynentu europejskiego. Wspólny komunikat odnotowuje stanowisko obu państw wobec konfliktu bliskowschodniego, sytuacji na Półwyspie Indochińskim i na Cyprze.

Rozmowy warszawskie będą miały jednakże **największy wpływ na rozwój stosunków dwustronnych**, na pogłębienie procesu zacieśniania przyjaznych stosunków, który tak owocnie zapoczątkowała przed dwoma laty wizyta Edwarda Gierka w Belgii.

* * *

W innych punktach naszego kontynentu: w Wiedniu i Genewie zakończyły się kolejne sesje, na których w różnym aspekcie dyskutowany jest problem rozbrojenia. 19 państw, uczestniczących w stolicy Austrii w rokowaniach w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej, 66 posiedzeniem plenarnym zakończyło zimową turę rozmów i ogłosiło czterotygodniową przerwę. W Genewie natomiast zakończyła się wiosenna sesja Komitetu Rozbrojeniowego ONZ, w czasie której dominującym tematem było nieropowszechnianie broni jądrowej. W toku tej sesji wyłoniono z przedstawicieli 21 państw (w tym również Polski) grupę roboczą, która ma opracować **zasady, jakim powinny odpowiadać strefy bezatomowe.** Ten fakt oceniany jest przez obserwatorów jako jedno z istotnych osiągnięć Komitetu.

* * *

Nazwa stolicy Portugalii przewija się na łamach prasy głównie z **powodu przygotowań do wyborów powszechnych oraz podpisania w ostatnich dniach dokumentu, określającego strukturę władzy.** Przewiduje on, że suwerennymi organami republiki będą: prezydent, Rada Rewolucyjna, rząd, zgromadzenie Ruchu Sił Zbrojnych, zgromadzenie ustawodawcze i sądy. Prezydent wybierany będzie przez kolegium elektorskie, składające się z przedstawicieli zgromadzenia ustawodawczego, będzie on równocześnie sprawował funkcję przewodniczącego Rady Rewolucyjnej oraz najwyższego dowódcy sił zbrojnych.

Postanowienia te mają obowiązywać w okresie przejściowym, 3—5 lat, to znaczy do czasu dokonania zmiany konstytucji. Ugruntowują one demokratyczne przemiany w Portugalii i stwarzają gwarancje ich nieodwracalności.

* * *

Zainteresowanie Londynem wynikało w ostatnich dniach z faktu, że **Izba Gmin debatowała nad problemem: czy W. Brytania ma pozostać w EWG, czy też wycofać się z tej organizacji.** Ostatecznie o tym zadecyduje referendum w dniu 5 czerwca, a debata w brytyjskim parlamencie i głosowanie nad tą kwestią miały stać się wytyczną dla obywateli. Większością głosów Izba Gmin wypowiedziała się za pozostaniem we Wspólnym Rynku, ale w rządzącej Partii Pracy zdania są nadal podzielone. Najlepszy dowód, że siedmiu członków gabinetu Wilsona głosowało przeciw. Gremialnie natomiast opowiedzieli się „za" deputowani z ramienia partii konserwatywnej. **Nie wróży to Wilsonowi łatwej sytuacji, może przecież spowodować rozłam w partii.** A co będzie, jeśli Brytyjczycy w referendum wypowiedzą się inaczej niż Izba Gmin? Kryzys rządowy w takiej sytuacji byłby nie do uniknięcia.

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

CO SIĘ KOMU WYDAJE?

Wieść o tym, jak pan Bogusławski z warszawskiej Telewizji ośmieszył przed całą Polską trzech krytyków muzycznych, obiegła kraj za pośrednictwem niemal wszystkich gazet. Nie przyłączyłem się do tego chóru, ponieważ subiektywizm ocen w dziedzinie sztuki jest dla mnie sprawą oczywistą i potknięcia w tej mierze też są stare jak sztuka.

Potem wszakże okazało się, że w gruncie rzeczy krytykom prezentowano trzy nagrania choć tego samego wirtuoza. W tym miejscu sprawa zaczęła dla mnie nieco śmierdzieć. Ale też nie tak bardzo, żeby rozdzierać szaty, jak to zrobiła część publicystów.

Pozwolą więc czytelnicy, że przypomnę pewien stary dowcip, jeszcze z czasów Młodej Polski. Otóż gdzieś około roku 1901 w Krakowie, w epoce bardzo już czynnego kultu Słowackiego, dwaj młodzi ludzie (jednym z nich był brat Boya-Żeleńskiego, Edward — jak podaje Adam Grzymała-Siedlecki w książce „Nie pożegnani") wysłali do redakcji tygodnika „Ilustracja Polska" parę strof wiersza Juliusza Słowackiego. Był to fragment utworu „Do Laury".

W liście napisanym z błędami ortograficznymi „młodzi debiutanci" poprosili o ocenę. Radość kawalarzy była ogromna, gdy w numerze 11 przeczytali odpowiedź redakcji: „Lubo pan z pewną niecierpliwością, a zarazem z błogą nadzieją oczekuje sądu na pytanie „jak wielki jest mój talent", musimy odpowiedzieć, że dotąd łokcia do mierzenia odpowiedniego nie sprawiliśmy sobie. Natomiast posiadamy — kosz. A w nim spoczywa także utwór pański, mimo tak obiecującego początku...".

I tu przytoczono jako próbkę grafomanii fragment nadesłanego wiersza Słowackiego:

„Za cóż tak zimny nieczucia kamień
Na serce moje się wali?
Żeśmy się kiedyś w kraju omamień
Na jedną chwilę spotkali...".

Autorem odpowiedzi był nie byle kto, bo wybitny historyk literatury i krytyk — Wilhelm Feldman. Dziś jego nazwisko jest może mniej znane, ale w tamtym czasie był to koryfeusz krytyki, redagował zresztą przez kilkanaście lat miesięcznik „Krytyka" poświęcony literaturze. W czasach, gdy zdarzyło mu się owe potknięcie, zajęty był organizowaniem kampanii w sprawie... przeniesienia zwłok Słowackiego na Wawel.

Było więc z tego sporo śmiechu i sporo zgorszenia. Zupełnie jak w tegorocznej historii z „Kaprysem" Paganiniego, wykonanym przez wybitnego wirtuoza, który trzej krytycy muzyczni tak dziwnie ocenili.

Bulwersująca audycja telewizyjna nosiła tytuł: „Jest tak jak się państwu wydaje!". Otóż nie! Wcale nie zawsze jest tak, jak się państwu wydaje. Subiektywizm ocen w dziedzinie sztuki dotyczy bowiem także kostiumu. Skoro wykonanie znanego wirtuoza „ubrano w kostium" studenta I roku, krytycy — tak sądzę — mieli prawo ulec tej sugestii. I ulegli — i wcale ich to nie kompromituje.

Bo czyż przez laty kompromitował jury (bardzo wybitne) Konkursu Chopinowskiego fakt, że słuchało koncertów... zza muślinowej kotary, aby nie widzieć wykonawców? Widocznie coś w tym musi być.

Otóż uważam, że w dziedzinie sztuki subiektywizm ocen polega właśnie na tym, co się komu wydaje. Jeśli więc krytykowi wydaje się, że postać studenta wykonuje gorzej nagranie wirtuoza niż sam żywy wirtuoz gra ten sam utwór (lub podobny), to naprawdę nie ma tragedii. I na pewno nie upoważnia taki lapsus do wyciągania wniosków na temat bezsensu wszelkiej krytyki artystycznej. A na te tory próbowano przecież rzecz całą sprowadzić.

Czy osiem wydań „Współczesnej literatury polskiej" (do roku 1930) Feldmana straciło wartość tylko dlatego, że się dał nabrać na ortograficzny kostium listu dwu kawalarzy? Czy straciły wartość jego rozprawy o Wyspiańskim, Żeromskim, Ibsenie? Absolutnie nie!

Więc po cóż ta zmasowana kampania przeciwko krytykom, wobec których zresztą postąpiono niezbyt fair? Krytyka jest tak stara, jak sztuka i pomyłki zdarzały się i zdarzać się będą zawsze! Jest to bowiem subiektywne prawo wszelkiej krytyki. Proszę mi wierzyć — w sztuce ważniejsze jest to, co się komu wydaje, a nie to, co jest zgodne z normą, tezą, a nawet obiektywną prawdą.

WIDOK

LEWYM OKIEM

GWOŹDZIE NA GOŚCIŃCU

W czasach, gdy zaczytywałem się sensacyjnymi powieściami Edgara Wallace'a, które nasz wychowawca i historyk nazywał właśnie walasami i prawie co dzień wyciągał to tu, to tam, spod ławek — zamierzyłem również ja sam napisać takie czytadło. Miałem już nawet intrygę: wynalazca maści przeciw komarom jednocześnie w tajemnicy zakaża całe okolice komarową plagą, aby podbić popyt na swe wyroby. Wydawało mi się, że to bardzo szatański i perfidny sposób robienia fortuny — no i supersensacyjny motyw do powieści.

Niestety, okazało się, że ludziska dawno już wpadli na takie koncepty. Nie tylko w sztuce, jak na przykład w dramacie Leonarda Franka „Na drodze", w którym właściciel stacji naprawy samochodów rozsypuje gwoździe na gościńcu, aby przysporzyć sobie klientów. Życie przecież wyprzedza sztukę, a może ją naśladuje, jak chciał Oskar Wilde. Podobno pierwsze żyletki po ich wynalezieniu miały trzy otwory do osadzenia w maszynce, a dopiero później te otwory połączono ciągłym przecięciem, żeby żyletki częściej się łamały, żeby handel szedł. Z takich odosobnionych, pojedynczych pomysłów powstała z czasem cała uniwersalna filozofia przemysłowa: produkować rzeczy nietrwałe.

Trwałość zmusza do otaczania się rzeczami starymi. Nietrwałość powoduje ciągłą odnowę, ciągłą — można to i tak nazwać — młodość, nowość i rewelację. Odrzucając rzeczy trwałe, rezygnuje się oczywiście z takich imponderabiliów jak tradycja, pietyzm, poczucie ciągłości, przywiązanie, sentyment. Fetyszyzując nowość, nowinę, niespodziankę — staje się tym samym do wiecznie zziajanej gonitwy, do wyścigu po rzeczy wciąż nowe, coraz nowsze, coraz szybciej się starzejące, coraz liczniejsze, coraz bardziej zachłanne. Traci się suwerenność nad rzeczami, a wydawało się przecież że przeciwnie: lekceważąc trwałość rzeczy, wyzwalamy się od nich. Odwrotnie, kochani, odwrotnie!

Jeśli nabędę rzecz, która mi należycie służy, jeśli wiem z całą pewnością, że będzie mi służyć długo — mam już z głowy na długo cały odnośny zakres służebności. Jestem wolny od myślenia o fotelu wiedząc, że będę siedział wygodnie na tym wczoraj kupionym przez całe życie, że on się nie spaczy, nie rozsypie, nie wyleżą z niego gwoździe, kłaki i druty. Będę kompletował i uzupełniał swój stan posiadania, ale nie muszę tego robić co roku od zera, jak po pożarze. Czy to nie kojąca perspektywa?

Ktoś już tę perspektywę zauważył i to w kraju, w którym nietrwałość wyrobów uznana została za kanon wszelkiego ludzkiego działania: w Ameryce. Tam się koła muszą kręcić i ludzie muszą kupować. Muszą kupować! Muszą, choćby wcale nie potrzebowali. Potrzeby można wmówić. Strach patrzeć już teraz, co z tego wmawiania wynikło, a jeszcze większy strach czytać w uczonych futurologiach, co z tego wyniknąć może za dziesiątek lat. Ludzie się odczłowieczają. Ludzie popadają w obłędny kierat pogoni za wciąż nowymi bzdurami, za elektryczną drapaczką pleców i elektronową zapalniczką do świec nad sztucznym kominkiem. Ogłuszeni, zwariowani, nieszczęśni Konsumenci. Ale oto czytamy rozprawki co mądrzejszych Amerykanów o tym, że humanizację świata trzeba zacząć od... trwałych wyrobów. Mniej, a lepszych. Po co ten zwariowany pośpiech, ta gonitwa pośród rosnących hałd śmieci i odpadków, po co ta gorączkowa produkcja śmieci?

Nieważne chyba nazwiska i tytuły dzieł, w których tak właśnie stawia się sprawę postępu na najbliższe dziesięciolecia. Nasi felietoniści oczywiście mają rację pisząc, że nam nadmiar rzeczy nie grozi, że to nie nasze zmartwienie. Ależ racja, potrzeba nam jeszcze bardzo, bardzo wielu drobnostek i niedrobnostek. Nie zaszkodzi jednak patrzeć daleko i uczyć się na błędach. Po co nam ten cały etap rozrzutności, kosztownej euforii, z której tak trudno wrócić do równowagi?

Okazuje się, że kształt żyletki zależy od uniwersalnych systemów myślenia, choć bywa i odwrotnie. Z rozmyślań przy goleniu Dygata powstał apetyczny tomik humoresek. Jakie żyletki powstaną po lekturze zaniepokojonych amerykańskich futurologów?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CIERPLIWOŚĆ PAPIERU

Japończycy — ciągle nas zaskakujący swoimi pomysłami — wynaleźli masę plastyczną, która z powodzeniem zastępuje drzewo przy produkcji ołówków. Takie ołówki z masy plastycznej można temperować niczym ołówki z drewna. Zastępowanie surowców naturalnych syntetykami w dobie kryzysu surowcowego ma szczególne znaczenie, a dla Japonii bardziej niż szczególne, bowiem „Kraj Kwitnącej Wiśni" na skutek gwałtownego postępu cywilizacji stał się „Krajem Więdnącej Wiśni". Troska o drzewa stała się dla Japończyków sprawą pierwszej wagi, gdyż jest dla nich troską o zachowanie naturalnego środowiska.

Drzew używa się jednak nie tylko do produkcji ołówków. Drzew używa się też do produkcji papieru. W różnych dziedzinach, na przykład w produkcji opakowań, udało się zastąpić papier i tektury syntetykami. Do pisania nadal niestety ciągle jeszcze służy papier i chyba długo będzie w tej dziedzinie nie zastąpiony.

Jest wszędzie. Nie można wyobrazić sobie żadnej dziedziny życia bez papieru. Papier towarzyszy człowiekowi w chwili narodzin i w chwili śmierci. Na papierze sporządza się bowiem świadectwo urodzenia i świadectwo zgonu. Im człowiek dłużej żyje i im większą wartość społeczną ma jego życie tym więcej gromadzi się wokół niego papieru. Wszystko znajduje swoje udokumentowanie na papierze: postępy w nauce, niepowodzenia, osiągnięcia i błędy, pierwsza miłość i pierwsza wypłata. Nawet koleżeńskie spotkania, lampkę wina wypita w kawiarni z dziewczyną kwituje się restauracyjnym czy kawiarnianym rachunkiem wypisywanym na papierze.

Zużywamy papieru tony, tysiące ton, setki tysięcy ton i od lat wołamy gromkim głosem o oszczędność papieru. Ale oszczędzać papieru nie potrafimy. Tony papieru walają się po śmietnikach, zamiast trafiać do składnic makultury i wędrować do ponownej przeróbki. Nie potrafimy oszczędzać papieru również i wtedy, kiedy zużywamy go w pożytecznych celach. Wystarczy spojrzeć na liczne kwity, ankiety, formularze, aby przekonać się jak szczodrze szafujemy tym, czego mamy coraz mniej.

Znajomi udostępnili mi kwit wystawiony przez Łódzkie Przedsiębiorstwo Odzieżowo-Futrzarskie „NESTOR" Państwowego Przemysłu Terenowego. Znajomi kupili skórzaną poduszkę, która leżała w witrynie punktu usługowego, a więc była już gotowa i transakcję można było załatwić przy pomocy zwykłego paragonu. Ale nie. Kupno gotowej poduszki skórzanej, a 100 złotych trwało około 15 minut, jako że trzeba było wypisać na formularzu formatu „A4" zlecenie na wykonanie usługi, a następnie wypisać ogromny rachunek, którego blankiet uwzględnia między innymi imię i nazwisko nabywcy, jego adres, nazwę wyrobu, nr zlecenia, nazwę materiału podstawowego, dodatków, podpis wpłacającego, stempel i podpis kasjera oraz szereg innych wraz z malutkim hasełkiem: „Oszczędzaj w PKO". Przydałoby się jeszcze inne hasełko: „Oszczędzaj czas swój i klienta oraz papier". Gdyby na rachunku wydrukowano takie hasełko, przynajmniej można byłoby podejrzewać „Nestora", że sumienie ma spokojne. Papieru nie oszczędza, ale nawołuje do tego.

Od czasu do czasu zdarza mi się jeść obiad w restauracji pierwszej kategorii. Tego typu restauracje posługują się „Menu" drukowanym na papierze formatu też chyba „A4". Nazwy potraw drukowane są w kilku językach, co jest zapewne chwalebną troską o zagranicznych klientów, tylko że szkopuł w tym, iż przy niewielu pozycjach z bogatej listy potraw, jakich można byłoby się spodziewać w takiej restauracji, wypisuje się na maszynie ceny, co jest widomym znakiem dla klientów, że te potrawy można zamawiać. Podejrzewam, że w magazynach restauracyjnych są spore jeszcze zapasy takich druków, ale nie jestem przekonany czy po ich wyczerpaniu trzeba będzie drukować nowe. Może byłoby taniej napisać po prostu nazwy potraw — nawet w tych kilku językach, posługując się dostarczonym kierownikom restauracji wzorem — na zwykłym papierze i na zwykłej maszynie do pisania.

A różne urzędowe formularze. Ileż tu zdarza się jeszcze zbędnych rubryk, niepotrzebnych druków, ile setek ton papieru można byłoby zaoszczędzić, likwidując wszelkie przerosty zrodzone przez wybujałą biurokrację. Albo takie sprawozdania, które sporządza się z różnych okazji, wypełnia się rzędy najprzeróżniejszych rubryk, sporządzanych w takim czy innym przekroju, których nikt później nie przegląda, do których nikt nie zagląda. Ileż tu, można zaoszczędzić setek ton papieru.

Swego czasu modna była historyjka o dyrektorze, który między 85 a 86 stronę stustronicowego sprawozdania włożył banknot stuzłotowy i puścił to sprawozdanie w obieg, zalecając aby jego pracownicy wnikliwie z nim się zapoznali i przygotowali się do dyskusji. Kiedy już wszyscy zebrali się przy konferencyjnym stole i rozłożyli swoje notatki, dyrektor wyjął ze sprawozdania nie ruszony banknot z załączoną doń kartką, że jest przeznaczony dla tego, kto doczyta sprawozdanie do tego miejsca.

— I o czym my tu mamy dyskutować? — powiedział pomysłowy dyrektor do zgromadzonych współpracowników.

O oszczędzaniu papieru też czas już przestać dyskutować.

MARCIN RODAK

HERBATA

„Herbatę uprawia się na pięciu kontynentach, a jej uprawą, wytwarzaniem i sprzedażą zajmują się setki tysięcy ludzi na ziemi. A mimo to nie będzie błędem stwierdzenie, że nie licząc niektórych narodów Azji, jedynie niezwykle mała liczba ludzi umie pić herbatę we właściwy sposób" — pisze we wstępie do swojej książki W. W. Pochlebkin. Tytuł jej polskiego przekładu brzmi po prostu „Herbata". Ta niewielka książka zrobiła u nas niespodziewaną karierę i błyskawicznie zniknęła z księgarni. Skąd ten sukces?

Herbata, jeden z najstarszych napojów, w Chinach znana jest już od około czterech i pół tysiąca lat. Do Polski dotarła w drugiej połowie XVII wieku, dzięki przesyłce z herbatą, którą otrzymał król Jan Kazimierz, przebywający w 1664 roku w Mohylewie nad Dnieprem. Początkowo napar z herbaty traktowano jako środek leczniczy, później dopiero trafia także na wykwintne stoły. Moda na picie kawy wyparła z łask na czas jakiś herbatę, tak, że jako datę jej rzeczywistego upowszechnienia i popularności w Polsce, przyjmuje się trzydzieste lata XIX wieku.

Dziś wszyscy pijemy herbatę na co dzień. Trudno sobie wyobrazić inny napój, który mógłby ją zastąpić. Ale co naprawdę wiemy o herbacie, czy umiemy ją przyrządzać tak, żeby nic nie uronić nie tylko z jej wspaniałego smaku i aromatu, ale także jej licznych wartości i właściwości? Lekturę książki Pochlebkina śmiało można polecić wszystkim, którzy lubią herbatę, także tym, którym się wydaje, że umieją ją przyrządzić.

I jeśli nawet u zaprzyjaźnionego księgarza nie dostaniemy już „Herbaty", to warto się potrudzić, popytać o nią w bibliotece lub u znajomych. Może wreszcie zniknie ze stołów jasnożółta lura, którą zupełnie niesłusznie nazywamy herbatą.

W. W. Pochlebkin „Herbata — rodzaje, właściwości, wykorzystanie", przełożyli K. i B. Krajewscy. Wydawnictwo Naukowo-Techniczne, Warszawa 1974, str. 183, cena 26 zł.

„OSTATNIA PRZYSTAŃ"

Z twórczością współczesnego czeskiego prozaika Zdenka Pluharza polski czytelnik miał okazję zetknąć się w roku 1965, kiedy to ukazał się przekład powieści „Jeśli mnie nie opuścisz". Autor, z wykształcenia inżynier, obecnie zarzucił swój pierwotny zawód i poświęcił się wyłącznie pracy literackiej. Poza wspomnianym już tytułem, do najpoczytniejszych jego książek należą: „Krzyże wyrastają na drodze do Pacyfiku" i „Niech rzuci kamieniem".

Jako jedna z pozycji zapowiedzianych w Klubie Interesującej Książki na rok 1975 ukazała się niedawno kolejna powieść Pluharza „Ostatnia przystań". Autor i tym razem nie odstępuje od swego ulubionego typu powieści psychologiczno-obyczajowej. Jej bohaterami są pensjonariusze domu starców. Jednakże, w przeciwieństwie do innych lektur o podobnej tematyce, „Ostatnia przystań" napisana jest lekko i nie bez poczucia humoru. Małe społeczeństwo starych ludzi, którzy nie chcą się poddać obezwładniającej starczej bezczynności i szukają różnorodnych form działania, przeżywa takie same problemy, konflikty, drobne radości, jak wszyscy. Nie mniej sympatycznie wypadają w powieści Pluharza przedstawiciele młodszego pokolenia, córki i synowie pensjonariuszy domu starców. I aczkolwiek autor bezlitośnie obnaża metody ich działania, zakłamanie i brutalną bezduszność, to przecież nie ma to nic wspólnego z tanim dydaktyzmem i umoralnianiem „na siłę". Ot po prostu, odkładając na półkę przeczytaną książkę, czytelnik nie oprze się refleksjom. Starość jest udziałem każdego człowieka. Jak będzie?

Zdenek Pluharz — „Ostatnia przystań", przełożył J. Waczków, PIW, Warszawa 1975 r., str. 275, cena zł 22.

„TOPOR"

Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe przedstawiają Topora. Album jego rysunków, starannie i atrakcyjnie przygotowany przez Romana Cieślewicza, z całą pewnością wywoła sporo komentarzy. Dla jednych będzie to prawdziwa frajda, inni zaczną się oburzać — po co takie obrzydliwości wydawać?

Twórczość Rolanda Topora od samego początku budziła i budzi po dzień dzisiejszy burzliwe dyskusje i kontrowersyjne opinie. Na całym świecie i w Polsce. „Szpilki", które od czasu do czasu zamieszczały jego rysunki, otrzymały od swoich czytelników wiele listów, w których odsądzano od czci i wiary zarówno samego rysownika, jak i redakcję.

„Czarny humor", jak umownie przyjęto nazywać gatunek uprawiany przez Topora, może się oczywiście nie podobać, ale z albumem, w którym zgromadzono wiele jego rysunków, warto się dokładnie zapoznać. Bo jeśli nawet ktoś potem stwierdzi, że mu Topor nie odpowiada, to przynajmniej niech zabaczy i zastanowi się dlaczego. A zwolenników twórczości Topora na pewno do kupna tego wydawnictwa namawiać nie trzeba.

Roman Cieślewicz — „Topor", Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa — 1975, cena zł 80.

„KOPA"

„Jestem jeszcze pod wrażeniem znakomitych występów narodowej reprezentacji Polski podczas X Mistrzostw Świata. Gra polskiego zespołu była dla mnie ogromnie przyjemną niespodzianką. Wasza drużyna stała się wielką rewelacją tego turnieju. Chodzi tu nie tylko o świetne rezultaty i uzyskaną trzecią lokatę. Polska zademonstrowała piękny, ofensywny styl gry, którego byłem, jestem i zawsze pozostanę gorącym zwolennikiem" — pisze, w posłowiu do polskiego tłumaczenia swojej książki, Raymond Kopaszewski, czyli po prostu Kopa.

Żadnemu piłkarskiemu kibicowi sportowemu nie jest obce to nazwisko. Dziennikarze sportowi mówili o nim „Napoleon futbolu", albo „najlepszy piłkarz francuski wszechczasów".

„Piłka i ja" — tak brzmi tytuł wspomnień Kopy, wspomnień, w których analizuje szczegółowo swoją piłkarską karierę, a więc drogę do piłkarstwa, sukcesy odnoszone w reprezentacji Francji, zatargi z działaczami piłkarskimi, decyzja o wycofaniu się z gry w reprezentacyjnej jedenastce. Piłka była i jest jego jedyną namiętnością. Wiedzę o niej i swoje bogate doświadczenie przekazuje we wspomnieniach, które powinny być interesującą lekturą nie tylko dla kibiców, ale, i może przede wszystkim, dla samych piłkarzy.

Raymond Kopa — „Piłka i ja", tłumaczyły: J. Pałęcka i E. Sobiepanek. Wydawnictwo: Sport i Turystyka, Warszawa — 1975, str. 169, cena zł 30.

„DOM NA PLACU WASZYNGTONA"

Henry James uważany jest za jednego z twórców nowoczesnej powieści psychologicznej. Ten amerykański powieściopisarz, nowelista i krytyk urodził się w 1843 roku. Kształcił się i podróżował po Europie, przez długi czas przebywał w Anglii, wreszcie, w roku 1915, na rok przed swoją śmiercią, przyjął obywatelstwo brytyjskie. Bliskie związki z Europą znalazły wielokrotne odbicie w twórczości Henry Jamesa, który zawsze był wielbicielem kultury europejskiej. Stąd w jego utworach występuje motyw Amerykanina w Europie i konfrontacja kultur obu kontynentów.

W polskim przekładzie ukazały się do tej pory powieści: „Amerykanin", „Ambasadorowie", „W kleszczach lęku" oraz dwa tomy opowiadań. Kolejną pozycją jest „Dom na placu Waszyngtona", powieść, która wydana została w serii Klubu Interesującej Książki. Głównym jej tematem jest nieudana miłość bogatej, acz niezbyt rozgarniętej panny do przystojnego łowcy posagów. Taki banalny wątek za wsze grozi klepskim melodramatem. Ale nie w wypadku Henry Jamesa. Doskonała proza, dystans, poczucie humoru i subtelna ironia, przede wszystkim znakomicie nakreślone sylwetki bohaterów, to główne walory powieści „Dom na placu Waszyngtona".

Książka Henry Jamesa, mimo że ukazała się niedawno, jest w Klubie Interesującej Książki „remanentem". Zapowiadano ją bowiem jako tytuł roku 1974.

B. M.

Henry James — „Dom na placu Waszyngtona", przełożyła M. Skroczyńska, PIW, Warszawa 1974 r., str. 197, cena zł 20.

MAGAZYN ODGŁOSY

GDZIE JEST PATRYCJA HEARST?

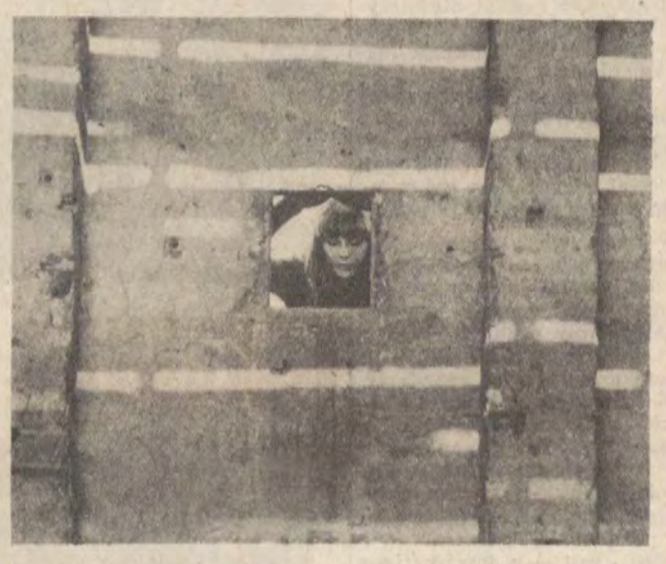

Przeszło rok Federalne Biuro Śledcze prowadzi szeroko zakrojoną operację mającą na celu odnalezienie Patrycji Hearst, córki znanego amerykańskiego magnata prasowego. Poszukiwania te kosztują już z górą trzy miliony dolarów, przesłuchano w tej sprawie ponad 25 tysięcy osób. Wszystko na próżno — nie udało się dotąd wpaść na ślad Patrycji.

W grudniu ub. roku policja z Los Angeles zatrzymała podejrzaną osobę o nazwisku Hearst... „Sukces" ten przyjął całkiem nieoczekiwany obrót. Policja aresztowała na lotnisku w Los Angeles bossa gangsterów — Kochena i towarzyszącą mu kobietę, która zapewniała, że jest Katarzyną Hearst, matką zaginionej Patrycji. Tak bliskie powiązania świata przestępczego z „elitą społeczną" wydały się stróżom porządku publicznego niewiarygodne, przeto bez ceremonii zrewidowali zatrzymanych. Zaalarmowany Randolph Hearst ledwie zdołał przekonać policję, że pomyliła się, uważając jego żonę za przyjaciółkę gangstera.

Kochen, z którymi Hearstowie już od kilku miesięcy utrzymywali kontakt, powiadomił ich, że Patrycja mieszka wraz z Williamem i Emilią Harrisami w jednej z dzielnic murzyńskich w Cleveland i zaofiarował im swoje usługi w charakterze pośrednika. Hearstowie wyrazili zgodę. Okazało się jednak, że informacja Kochena jest nieprawdziwa. Patrycji Hearst szukano we wszystkich stanach USA, w Kanadzie, Meksyku i szeregu krajów południowoamerykańskich. Niedawno przewodniczącego specjalnej komisji FBI w Waszyngtonie obudzono w środku nocy. Poinformowano go, że na Times Square w Nowym Jorku policja zatrzymała młodą kobietę, uderzająco podobną do Patrycji. Stawiała ona opór policji i odmówiła wszelkich zeznań. Odciski jej palców przesłano samolotem do Waszyngtonu, gdzie ekspert, także wyciągnięty z łóżka pośród nocy, skonfrontował je z odciskami palców Patrycji Hearst. Były inne...

PELE W NOWEJ ROLI

Ubrany w wieczorowy garnitur, śnieżnobiałą koszulę i drogi krawat pan Edson Arantez du Nasimentu przegląda kontrakty w jednym z gabinetów swego biura, mieszczącego się w trzypiętrowym budynku przy ulicy Riachuelo w Santos. Prowadzi rozległe interesy w sześciu należących do niego przedsiębiorstwach wykazujących wysokie obroty. Wielogłosowy poszum stadionu, owacje i okrzyki, którymi tłumy witały niegdyś króla piłki nożnej Pelego — wszystko to należy już do przeszłości. Dziś Pele jest szanowanym przedsiębiorcą. Biznesman Edson Arantez du Nasimentu jest szczególnym typem przedsiębiorcy. Zgromadził kapitał przy pomocy nóg, a pomnożył go dzięki dobrze lokowanym inwestycjom w rozlicznych gałęziach przemysłu i handlu. Jego dochody, nie licząc zysków z akcji i innych dywidend, sięgają obecnie około 50 tysięcy dolarów miesięcznie.

Czego nauczyły go futbol i życie, powiedział Pele korespondentowi jednego z pism brazylijskich:

Pytanie: — Czym różni się pan, znany dziś przedsiębiorca brazylijski, od piłkarzy, którzy umarli w nędzy

Pele: — Piłkarze zarabiają zazwyczaj nie tak dużo, jak by się wydawało. Ja i niektórzy inni piłkarze jesteśmy wyjątkiem. Większą część pieniędzy zarobiłem poza futbolem. Piłka nożna, w porównaniu z innymi, jest „tanią" dyscypliną sportu. Żeby ją uprawiać wystarczy tylko piłka i wprawa. Większość piłkarzy pochodzi z biednych warstw społeczeństwa. Trafiają do klubu, nie mając często nawet podstawowego wykształcenia. Zdobywając coraz wyższe dochody — zaczynają szastać pieniędzmi, żyjąc przez pewien czas w pełnym luksusie. Kiedy jednak przestają grać w futbol, zderzają się z twardymi realiami życia i koniec końców, żeby żyć, podejmują nisko płatne zajęcia.

Pytanie: — Wygląda na to, że przemysł piłkarski eksploatuje gracza, a później wyrzuca go poza nawias.

Pele: — Zazwyczaj tak się to odbywa. Klub „tworzy" piłkarza, a następnie wyżyma z niego wszystkie soki i wyrzuca. Mnie się udało, dobrze wykorzystałem szansę. Ale inni piłkarze, głównie z mniej renomowanych drużyn, najczęściej umierają w nędzy.

WZROST PRZESTĘPCZOŚCI

W 1973 roku liczba napadów z bronią w ręku wzrosła we Francji, w porównaniu z rokiem poprzednim, o 43 procent, we Włoszech o 58 procent. Tylko jednego dnia w 1974 roku, podczas napadów na banki raniono 11 mieszkańców Paryża. Fala przestępczości nie ominęła nawet spokojnej Szwajcarii. W 1971 roku wydano w tym kraju 71 wyroków za przestępstwa dokonane z bronią w ręku. W 1972 roku liczba wyroków za takie przestępstwa wzrosła już do 214. W Hiszpanii w 1973 roku dokonano 448 napadów na banki, dwa razy więcej niż w 1968 roku. Badania opinii publicznej przeprowadzone ostatnio w stolicy Szwecji wykazały, iż 26 procent mieszkańców Sztokholmu boi się wychodzić na ulicę po zapadnięciu zmroku. Co prawda życie mieszkańców zachodniej Europy jest mniej zagrożone niż w Stanach Zjednoczonych. W Nowym Jorku dokonuje się sto razy więcej napadów na banki niż w Paryżu. Przestępczość rośnie, mimo iż banki i wiele dużych sklepów posiadają najnowocześniejsze urządzenia sygnalizacji alarmowej i potężne sejfy.

TEATR NARODÓW

Festiwal Teatru Narodów w Paryżu skupia każdego lata teatralne zespoły wielu krajów. Stał się on prawdziwym laboratorium twórczym, w którym zespoły dzielą się swymi doświadczeniami, poszukiwaniami, wystawiają przedstawienia zarówno klasyczne, jak i eksperymentalne. Festiwal, któremu patronuje Międzynarodowy Instytut Teatru pod egidą UNESCO, odbędzie szereg podróży. W latach 1975, 1976 i 1977 zespoły teatralne uczestniczące w Festiwalu, odwiedzą Warszawę, Belgrad i Mannheim (RFN). Później będą je gościć inne miasta świata.

PRZEMYT ZWIERZĄT

Nielegalny wywóz z Australii rzadkich ptaków, żmij i innych przedstawicieli fauny piątego kontynentu przekształcił się ostatnio w wielki biznes. „Specjalizują" się w nim dobrze zorganizowane syndykaty przestępców, dysponujące samolotami, statkami i innymi środkami transportu, dostarczając szmuglowany „towar" do Singapuru, Hongkongu, Zurychu i Londynu. Nielegalny wywóz okazów zwierzęcego świata Australii przynosi podziemnym syndykatom milionowe dochody. W krajach europejskich cena niektórych rodzajów ptaków australijskich dochodzi do 5—8 tysięcy dolarów australijskich. Przemyca się nie tylko ptaki. Ważne „pozycje" tego dochodowego przemytu stanowią jaszczurki, żółwie, żmije, a nawet kangury. Jeden przykład: kilka rzadkich okazów żmij, „przerzuconych" z Sidney do Zurychu przyniosło przemytnikom 13 tysięcy dolarów czystego dochodu.

BANKRUCTWA W SZWAJCARII

Epidemia bankructw na Zachodzie, atakując bezlitośnie małe sklepiki i solidne firmy, boleśnie ugodziła wiele przedsiębiorstw w Szwajcarii. W końcu września 1974 roku zarejestrowano aż 778 bankructw, przy czym nie brano pod uwagę likwidacji małych firm nie objętych rejestrem handlowym. Ponadto w 85 przypadkach sądy podejmowały decyzje o finansowej niewypłacalności przedsiębiorstw. W 1974 roku najczęściej bankrutowały tu firmy budowlane oraz przedsiębiorstwa związane ze sferą budownictwa. Zbankrutowało także wiele kompanii turystycznych, hoteli, drukarni i wydawnictw oraz firm usługowych.

(X)

Foto: Archiwum

MAŁE KINO

WIDZ A HIGIENA

W cyklu filmów o treściach higienicznych, jako pierwsze ukaże się dzieło przypominające o potrzebie oddychania aż do momentu braku potrzeby oddychania. Niestety, nie można na razie określić terminu ukazania się filmów o następnych potrzebach, gdyż potrzebność ich jest dyskusyjna, a higieniczność dość wątpliwa. I tak np. w potrzebności jedzenia niepotrzebne jest głośne mlaskanie a niehigieniczne to co pozornie higieniczne.

NIEWDZIĘCZNE JASKÓŁKI

Po wielu dziesiątkach lat pracy z kamerą w ręku nad życiem jaskółek i czyżyków i jego tajemnicami, znany operator naukowy Jan Bolski obraził się i zrezygnował. Zebranym przedstawicielom prasy jako przyczynę podał fakt, iż mimo wielokrotnych próśb, nalegań i nakłaniań ani jedna z jaskółek nie raczyła nawet nieco zwolnić, tak, by ułatwić sfotografowanie w locie. Oburzające jest również — dodał Jan Bolski— do czego zdolne są czyżyki, żeby tylko mieć jajko.

TAJEMNICE ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Trwają uporczywe poszukiwania najstarszej mieszkanki Ziemi Łódzkiej. Po odnalezieniu zostanie ona postawiona obok najmłodszej mieszkanki Ziemi Łódzkiej i sfotografowana. Takie zdjęcie może okazać się interesujące dla badaczy Ziemi Łódzkiej oraz Ziemi w ogóle, ze względu na różnice występujące wyraźnie między mieszkankami.

GRANICE MOŻLIWOŚCI DOLARA

Zdumiewające postępy czyni chirurgia kosmetyczna w kapitalistycznym świecie filmowym. Już za kilkanaście dolarów tamtejszy reżyser filmowy może pozbawić się trzeciej nogi czy zbędnego ucha lub zlikwidować bezboleśnie męczące oko w tyle głowy. Za większą opłatą można zostać częściowo mężczyzną a częściowo zacząć być kobietą (lub odwrotnie), co mile urozmaica samotne grzybobranie. Za żadną jednak cenę nie można tam nauczyć miłości do prostych ludzi. O, tego tam nie można.

INNE NIEBO

W zachodniej Francji dostrzeżono dialogistę filmowego, który nocą wpatrywał się w miliony gwiazd błyszczących na niebie i rozmyślał o swoich poborach. Turysta z Polski po dostrzeżeniu dialogisty i nawiązaniu z nim dialogu, usiłował pójść w jego ślady, lecz zachodniofrancuskie niebo oszołomiło go przepychem.

EDWARD KOPCZYŃSKI

RÓWNOWAGA DUCHA

Parę dni temu przeżyłem koszmarny dzień. Zaskakujące mnie przeżycia zaczęły się już rano, kiedy tylko wyszedłem na ulicę. Taksówka jadąc blisko chodnika opryskała mnie wodą z kałuży. Nie zdążyłem jeszcze przeżuć przekleństwa, kiedy kierowca taksówki — dwudziestoletni, przystojny młodzieniec — zatrzymał samochód, podbiegł do mnie z przeprosinami i zręcznie wytarł wodę z mojego płaszcza. Obserwowałem go uważnie i z obawą, ale robił wrażenie zupełnie normalnego. W tramwaju podałem pięć złotych, a konduktor wydając mi bilet i nadpłatę, powiedział z uśmiechem: „Bardzo proszę, oto cztery złote dla pana". Zaniepokojony obserwowałem go z daleka, ale również nie robił wrażenia jakiegoś pomyleńca. Kiedy przekroczyłem próg instytucji, w której pracuję od lat dwudziestu, woźny powitał mnie słowami:

— Dzień dobry, panie kierowniku. Ładną pogodę mamy dzisiaj, co?

Stanąłem jak wryty, czułem gwałtownie bijące serce i dopiero po chwili przyszedłem do siebie, tak, że mogłem potwierdzić jego sąd o pogodzie. Odchodząc, obejrzałem się jednak dwukrotnie, by sprawdzić czy woźny to rzeczywiście nasz woźny. Nasz, słowo daję, ukłonił mi się jeszcze raz z daleka, co natychmiast utwierdziło mnie w przekonaniu, że musiało go coś stuknąć...

O godzinie dziewiątej wezwał mnie do siebie Jagodzik, kierownik działu sprzedaży, któremu służbowo podlegałem. Kiedy wszedłem, poprosił bym usiadł i wesoło zagaił:

— Co tam u pana słychać, kolego? Mówił mi ktoś, że pan zamienił mieszkanie.

— Tak — przyznałem.

— No to się cieszę, bo na pewno na lepsze.

— Na lepsze.

Potem załatwiliśmy sprawy służbowe — o dziwo — bez nerwów, bez drwiących uwag ze strony Jagodzika. Wróciłem do swojego gabinetu rozdygotany, a jednocześnie napięty jak struna i usiłowałem jakoś logicznie w tym wszystkim się połapać. To, że rano przeprosił mnie taksówkarz mogłem zaliczyć do szczególnego zbiegu okoliczności — można było przyjąć, że facet rzeczywiście był nienormalny, albo, co również mogło się zdarzyć, że wracał z randki z ukochaną dziewczyną. Z konduktorem, który był panem w średnim wieku, już było gorzej, nie mogłem się zorientować, co mogło go tak dobrze usposobić — ale, teoretycznie mógł wygrać na loterii albo w Toto-Lotka. Z woźnym prawdziwa zagadka. Znany był z tego, że uważał się za drugiego dyrektora instytucji — uważałem więc, że sprawa polega po prostu na jakimś perfidnym kawale z jego strony. O Jagodziku mówiło się u nas wprawdzie, że mu utarto nosa na egzekutywie POP i w Radzie Zakładowej, za tak zwane stosunki międzyludzkie, ale ja osobiście nie bardzo w to wierzyłem.

Z tych ponurych rozmyślań wyrwał mnie dzwonek telefonu — sekretarka powiadomiła mnie, że prosi mnie naczelny. Zawsze dotąd takie zaproszenie przyprawiało mnie o drżenie rąk, ale tym razem ucieszyłem się nawet, bo z desperacją pomyślałem sobie: Zaraz się wszystko wyjaśni, Naczelny przywróci mi potrzebny spokój.

W gabinecie Naczelnego jak u Jagodzika. Prośba, bym usiadł, pytania o to, co słychać, potem rzeczowa dyskusja o paru najpilniejszych sprawach. Kiedy wychodziłem Naczelny dodał:

— Kolego Dreszcz, wiem, że prowadzi pan niełatwe sprawy, tym bardziej cieszą mnie postępy...

Jak na jeden dzień, za wiele dobrego, nie wytrzymałem nrwowo, zacząłem krzyczeć:

— Panie dyrektorze, nie wolno tak postępować. Nie wolno z dnia na dzień zmieniać tego, do czego przywykałem przez dwadzieścia lat.

Ja zrosłem się z naszą instytucją, na pamięć znam panujące tu zwyczaje, sposób urzędowania... ja przyzwyczaiłem się do tego. To, co przeżywam dzisiaj, to wstrząs, ja nie pozwalam... najpierw taksówkarz, potem konduktor, jeszcze potem woźny, niedawno Jagodzik, a teraz pan. Pan, na którego tak liczyłem, wierzyłem, że przywróci mi pan spokój.. Panie dyrektorze, ja sobie wypraszam... niech będzie po dawnemu.. zaklinam pana, dla mojej równowagi ducha.. Panie dyrektorze, proszę mnie..., jakiś powód pan zawsze znajdował, bardzo proszę...

Od dwóch dni jestem na zwolnieniu chorobowym. Lekarz postawił bardzo skomplikowaną diagnozę, wyjaśnił mi, że moja choroba polega na nerwicowym przyhamowaniu możliwości dostosowania się do otoczenia — do zmian, jakie w tym otoczeniu następują.

MAGAZYN ODGŁOSY

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

TARGI, TARGI...

Odbyły się w Łodzi już po raz drugi, z rozmachem zorganizowane przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, a przy współpracy Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi i Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Niemal półmilionową kwotą dofinansowały je — podobnie, jak przed rokiem — Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów", których wyroby z bistoru były z tej okazji reklamowane przeróżnymi sposobami.

II Polskie Targi Estradowe odbyły się w tym samym niemal terminie, co w roku ubiegłym, ale trwały o jeden dzień dłużej: ponad cztery doby. Nic dziwnego, bowiem ilość programów zgłoszonych do pokazów, giełdowych zwiększyła się i — mimo odwołania kilku koncertów — osiągnęła liczbę niespełna pięćdziesięciu. We władanie artystów estrady oddano bez reszty obie sale (dużą i kameralną) Teatru „Rozmaitości", goszczono ich także w Filharmonii. Poza tymi koncertami odbyły się w trzy kolejne, targowe wieczory — duże składankowe imprezy, które przede wszystkim przekonały widzów... o braku w naszym mieście hali widowiskowej, bowiem odbywały się w niezbyt do tego celu przystosowanym Pałacu Sportowym. Tam zresztą przeniósł się sztab organizacyjny Targów Estradowych, tam też zlokalizowano tzw. biuro prasowe oraz kilka — niestety — ubogo zaopatrzonych wystaw towarzyszących.

Targi skończyły się — co po nich pozostało? Zajrzałem do torby, która nieodłącznie towarzyszyła mi w okresie trwania handlowej konfrontacji polskiej estrady. I co tam znalazłem? Trochę fotografii, kilka folderów, biuletyn SME, dwie płyty, wygnieciony program... To wszystko. I jeszcze — byłbym zapomniał — bagaż spostrzeżeń i refleksji.

Gdy w marcu 1974 roku, znany publicysta muzyczny Andrzej Wróblewski-Ibis proponował na łamach „Życia Warszawy" dla Targów syntetyczną nazwę „POLTEST", większość zainteresowanych przypuszczała, że w istocie, jeśli nie w tym pierwszym roku, to w następnym PTE będą owym „testem" dla polskiej rozrywki, ale do dziś jeszcze tak się nie stało. Przyczyn wycinkowego charakteru tej imprezy jest wiele. W naszym kraju istnieje bodaj 16 ośrodków zawiadujących rozrywką, zwanych „Estradami" oraz dwie organizacje, których agencje koncertowe działają na podobnych, co „Estrady", zasadach: Polskie Stowarzyszenie Jazzowe i Stowarzyszenie Muzyki Estradowej. Spośród nich cztery ośrodki nie były reprezentowane: Rzeszów, Koszalin i Poznań, w których nadal bojkotuje się łódzką inicjatywę, a po prawdzie — coraz mniej jest do prezentowania. W ekipach wielu przedsiębiorstw zabrakło renomowanych wykonawców, którzy nie potrzebują zabiegać o klientelę: Santor, Połomski, Jarocka... To dwa powody; trzecim jest brak odpowiedzialności (mimo zobowiązań) za wystawiony na sprzedaż produkt ze strony opiekuna, w wyniku czego spotkaliśmy się kilkakrotnie z prymitywizmem wykonawczym, brakiem koncepcji repertuarowej, jak również — upłynnianiem remanentów. Zdaje się, że pewnych transformacji wymaga także formuła Targów.

W bieżącym roku dominować mieli młodzi w myśl hasła: „Przyszłość — a nie przeszłość polskiej rozrywki". W tym celu zaproszono wielu młodych wiekiem, nierzadko początkujących wykonawców, którzy stanowili poważny procent wszystkich wykonawców, występujących i zorganizowano też koncert inauguracyjny pn. „Nowe twarze polskiej rozrywki". Ta, z polotem pomyślana przez reżysera, impreza przyniosła autentyczne fiasko artystyczne. Niektórzy krytycy rozdzierali wręcz szaty widząc, jakie mamy piosenkarskie zaplecze. W trudnej sytuacji znalazło się jury (był to jedyny w ten sposób oceniany koncert), mające dokonać wyboru najlepszych spośród uczestników ponad 3-godzinnego widowiska. Szczęśliwcom miano zapewnić nagranie tzw. płyty promocyjnej, udział w programie telewizyjnym oraz mecenat artystyczny umożliwiający dalszy rozwój. W rezultacie zespół sędziów pod przewodnictwem Piotra Adamczewskiego przyznał „Czterolistne Koniczynki": Lucynie Owsińskiej, Tadeuszowi Karmazynowi i katowickiemu zespołowi „Hocus". Już następnego dnia Owsińska nagrała singla i w ten sposób padł krajowy rekord „Polskich Nagrań", gdyż krążek ten ukazał się, acz w małym nakładzie, w dzień po nagraniu! (Nawiasem mówiąc, w momencie rozpoczęcia Targów wypuszczono na rynek longplay „Poltest 75"). Jak powiedział mi przedstawiciel „Polskich Nagrań" — Ryszard Poznakowski, zaproponowano także nagranie małej płytki grupie „Hocus", ale okazało się, że młodzi muzycy, którym przynajmniej w obyciu estradowym daleko do dojrzałości, nie mają odpowiedniego polskiego (!) repertuaru. Jak zatem widać, narybek polskiej piosenki prezentuje się raczej rozpaczliwie.

Podobna sytuacja z kabaretami. Maraton kabaretowy został uratowany przez zaimprowizowany na poczekaniu występ trzech weteranów tego ruchu: Drozdy, Paculy, Smigielskiego, plus mima — Marka Gołębiowskiego, którzy zmontowali „kabaret jednej nocy" — „Podtekst —75". Pozostałe kabarety, choć wyróżnione wcześniej na konkursach, wypadły zastraszająco słabo. Przyzwoitego poziomu nie osiągnął ani „Kaktus", ani „Kluczydło", ani „Podskale", które dwa dni wcześniej usiłowało rozbawić wciśniętą w fotele, ogłuszoną decybelami publiczność Filharmonii, ani pozostałe grupy humorystów.

Ogólny poziom imprez II PTE był przeciętny. Można było zaobserwować pewne procesy w polskiej piosence, świadczące o ciągłych zmianach układu sił: spadek formy renomowanych wykonawców („Breakout", Tutinas, „Bractwo Kurkowe 1791"), solidne rzemiosło niektórych weteranów („Trubadurzy", „Homo Homini"), dobry start nowych piosenkarzy i zespołów (Owsińska, „Happy End"), ustawiczny rozwój, czy wręcz krok naprzód nielicznych (Krawczyk, Żytkowiak, „Koman Band", Camer-Ton".)

Jednocześnie, przy okazji Targów, na których zawarto szereg umów handlowych pomiędzy przedstawicielami poszczególnych „Estrad", ujawniły się głębokie szczeliny w prawidłowej działalności organizacyjnej, administracyjnej, artystycznej naszego tzw. przemysłu rozrywkowego. Przypomniano również w czasie konferencji kończącej Targi Estradowe, że nazwa „estrada" nie ogranicza się wyłącznie do produkcji muzycznych. Dopóki jednak nie będziemy potrafili racjonalnie odpowiedzieć na stawiane po wielokroć pytania i dopó na wysokim szczeblu nie po ejmie się rozsądnych decyzji, dopóty przemysł określany mianem „showbiznesu" będzie w tym kraju — „tak zwanym".

Myślę, że warto w tym miejscu podkreślić zasługi Stowarzyszenia Muzyki Estradowej i kierującego nim dyr. Andrzeja Jóźwiaka, bowiem dzięki inicjatywie corocznego organizowania Polskich Targów Estradowych mamy możność uzmysłowić sobie każdorazowo, jaki jest stan krajowej estrady i czy coś zwiastuje zmiany na lepsze.

W minorowych nastrojach opuszczano salę po targowej konferencji, która nie przyniosła żadnych rozstrzygnięć. Na rok pozostawiamy problem w zawieszeniu, przez rok będzie czas na szukanie lepszych rozwiązań. Póki co, już na pierwszym koncercie najlepszy konferansjer tegorocznych Targów, niezawodny w swych pomysłach — Ryszard Sadowski (któremu przyznaję z tego miejsca prywatnego, estradowego „Oscara") wychodził z sali — w towarzystwie młodziana ubranego w powłóczysty biały strój i niosącego zapaloną świecę, krzycząc: „Gdzie jesteś, polska rozrywko?"

Właśnie, gdzie?

JUŻ WIOSNA!

WIOSENNY WIATR

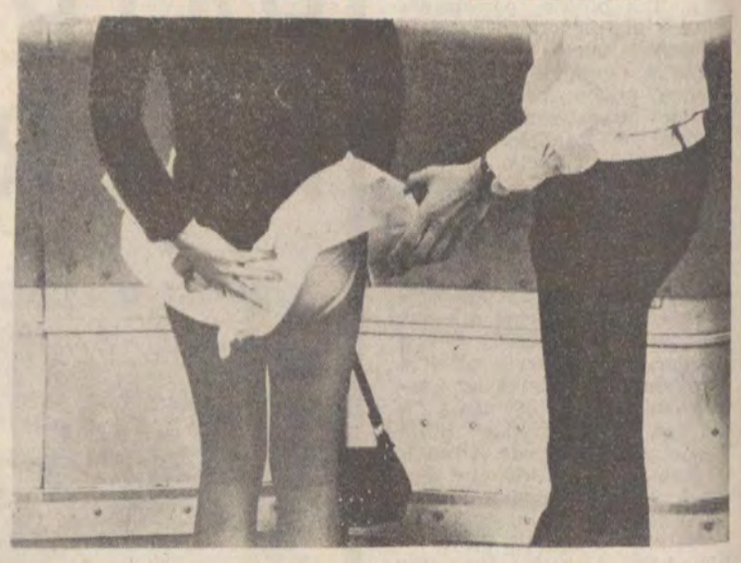

WIOSENNA DZIEWCZYNA

Fot. Archiwum

JACEK BROMSKI - STORY

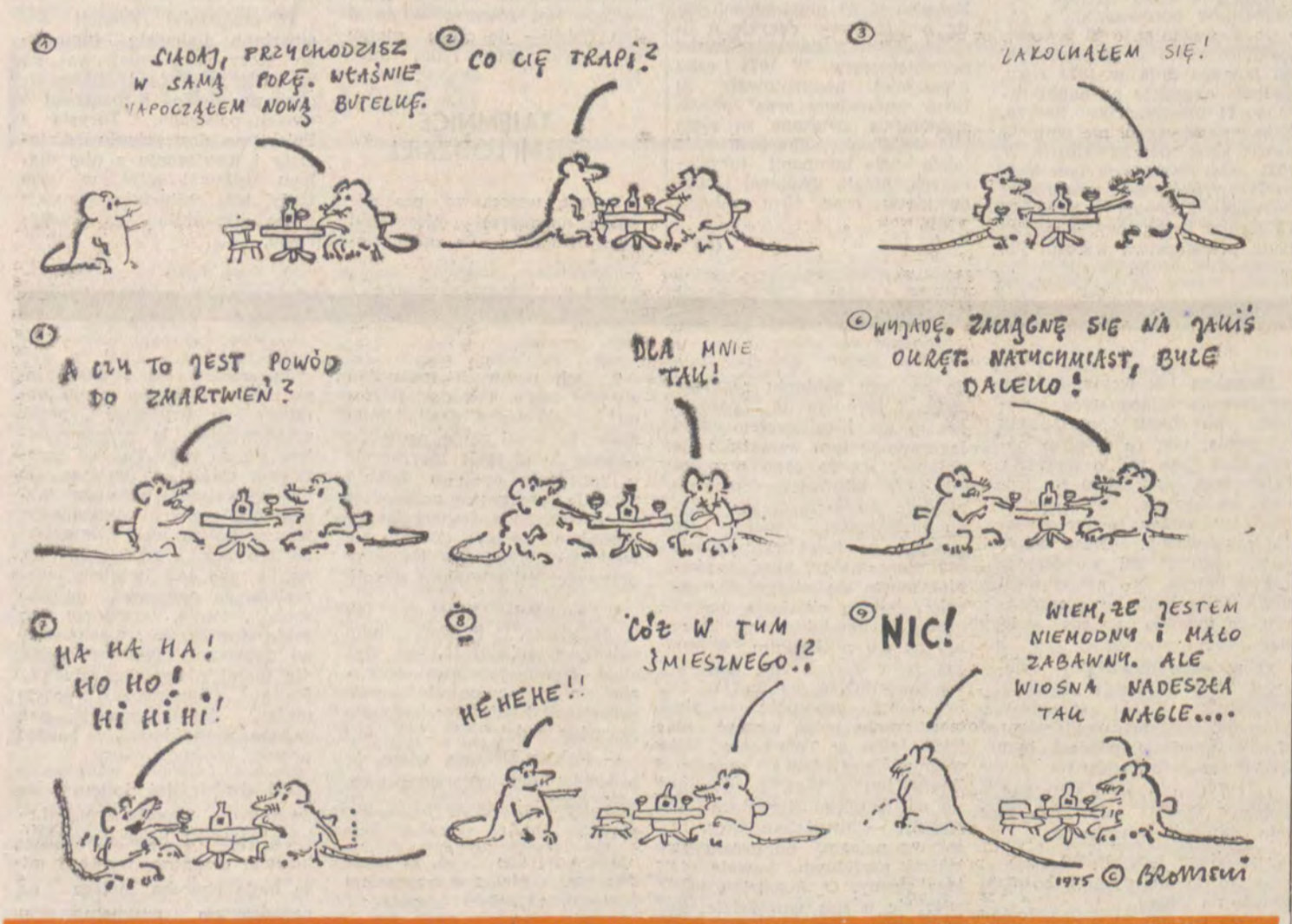

POWIĘKSZENIA

KU OBSŁUDZE A UŻYWANIU

„NISA 357" jest urządzeniem służącym do perforacji taśmy komputera. Produkują ją bracia Czesi w słynnych zakładach „ZBROJÓWKA". Chwała im za to, tym bardziej, że lepiej robią maszyny niż piszą po... polsku. Poczytajcie:

„NISA 357" posiada następujące części: „1. Rznąca płyta, 3. Strzygąca dźwignia, 4. Wybieracz szerkości lepiącej paski, 8. Lepiąca paska".

Co trzeba robić, aby podziurkować „lepiącą paskę"?

„1. Dziurną paskę ułożymy na wodzące koleczki we rznącej płycie tak, aby pierwszy znak, wyznaczony do wydziurowania, był nad pierwszą szpaltą we rznącej płycie.

5. Wybijacz wysuniemy znów pionowo, a bez gwałtu".

A co zrobić, jak „NISA 375" zepsuje się?

„Remont aparata jest całkiem niewymagalny. Postarczy, abyśmy czas do czasu usunęli szmatką, namoczoną we spirytusie namuł lepidła z lepiącej paski, który pozostaje na rznącej płycie, piłce a wybijaczkach wodzącego śladu".

Proste.

Na zakończenie interesującej instrukcji producent łaskawie zauważa:

„Lepiąca paskę, a żyletki producent nie dostarcza jako rezerwowe części".

I bardzo dobrze, bo po przeczytaniu „Przepisa ku obsłudze, a używaniu" miałoby się ochotę coś pociąć i coś posklejać później.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 747. U-12. Nr indeksu 37006/36762